

TOVE JANSSON

PAMIĘTNIKI TATUSIA MUMINKA

PROLOG

Pewnego dnia, kiedy Muminek był jeszcze całkiem mały, jego Tatuś przeziębził się w samym środku upalnego lata. Tatuś nie chciał pić gorącego mleka z cebulą i cukrem, nie chciał się też położyć. Siedział na huśtawce w ogrodzie, co chwila wycierał nos i twierdził, że cygara mają okropny smak. Na całym trawniku pełno było jego chustek do nosa, które Mama Muminka zbierała do małego koszyczka.

Kiedy katar stał się jeszcze gorszy, Tatuś przeniósł się na werandę i usiadł w fotelu na biegunach okryty kocami aż po sam nos, a Mama Muminka przyrządziła mu szklanę prawdziwego grogu.

Ale nawet to nie mogło już pomóc: grog miał równie niedobry smak, jak mleko z cebulą, i Tatuś, całkiem zniechęcony, poszedł położyć się do łóżka w swoim pokoju na poddaszu. Nigdy przedtem nie był chory, więc traktował to niesłychanie poważnie.

Gdy gardło rozboleło go do niemożliwości, Tatuś posłał Mamę po Muminka, Włóczykija i Ryjka, i wszyscy ustawili się rzędkiem koło jego łóżka. Wtedy zwrócił się do nich mówiąc, żeby zawsze pamiętali o tym, że dane im było żyć u boku prawdziwego miłośnika przygód, a potem poprosił Ryjka o przyniesienie tramwaju z morskiej pianki, który stał na komodzie w salonie. Ale Tatuś był tak zachrypnięty, że nikt nie zrozumiał, o co mu chodzi.

Opatulili go więc, jak mogli najlepiej, żałując i pocieszając, dali mu cukierków, aspirynę i zabawne książki, a potem wrócili na dwór, na słońce. Tatuś Muminka leżał i złościł się, aż w końcu zasnął. Kiedy obudził się pod wieczór, gardło trochę mniej go bolało, lecz dalej był w złym humorze. Zadzwoił dzwonkiem, który zwykle oznajmiał porę posiłku, i wtedy natychmiast wbiegła po schodach Mama pytając, jak się czuje.

- Koszmarnie - rzekł Tatuś. - Ale mniejsza z tym. W tej chwili ważne jest, żebyś zainteresowała się moim tramwajem z morskiej pianki.

- Tą ozdobą z salonu? - zdziwiła się Mama. - Dlaczego?

Tatuś Muminka poderwał się na łóżku.

Nie wiesz, że on odegrał bardzo ważną rolę w mojej młodości? - zapytał.

- Owszem, pamiętam, to była jakaś wygrana na loterii czy coś takiego - odparła Mama Muminka.

Tatuś pokiwał głową, wytarł nos i westchnął.

- Tak też sądziłem - rzekł. - I teraz wyobraź sobie, co by było, gdybym umarł dziś rano na przeziębienie. Wówczas nikt z was nie miałby najmniejszego pojęcia o historii tramwaju. Prawdopodobnie to samo dotyczy całego mnóstwa innych ważnych rzeczy.

Opowiadałem wam o mojej młodości, ale wszystkoście zapomnieli.

- Być może, jakiś mały szczegół, ten czy inny - przyznała Mama. - Po latach niektóre rzeczy zacierają się trochę w pamięci... Zjesz obiad? Jest zupa jarzynowa i kisiel.

- Paskudztwa - odparł Tatuś Muminka ponurym głosem. Odwrócił się do ściany i zakaszłał głucho.

Mama Muminka patrzyła na niego przez chwilę, a potem powiedziała:

- Wiesz co? Przedwczoraj przy sprzątanu strychu znalazłam gruby zeszyt. Gdybyś tak napisał książkę o swojej młodości?

Tatuś nic nie odpowiedział, ale przestał kaszleć.

- Właśnie teraz byłaby na to odpowiednia chwila - mówiła dalej Mama - bo jesteś przecież przeziębiony i nie możesz wychodzić na dwór. To się chyba nazywa wypomnienia czy coś w tym rodzaju.

- Wspomnienia - poprawił ją Tatuś. - Albo pamiętniki.

- A potem mógłbyś nam czytać to, co napisałeś - powiedziała Mama. - Na przykład po śniadaniu i po obiedzie.

- Tak szybko to nie idzie - zachnął się Tatuś wyskakując spod koców. - Nie myśl, że można napisać książkę ot tak, po pro- tu. Nie przeczytam ani jednego słowa, dopóki cały rozdział nie będzie gotowy, i wpierv przeczytam go tylko tobie, a dopiero potem innym.

- Tak, masz chyba rację - zgodziła się Mama, po czym poszła na strych, żeby przynieść zeszyt.

- Jak on się czuje? - spytał Muminek.

- Lepiej - odparła Mama. - A teraz macie być naprawdę cicho, bo Tatuś zaczyna pisać pamiętniki.

PRZEDMOWA

Ja, Tatuś Muminka, siedzę dzisiejszego wieczoru przy oknie i patrzę w aksamitną czerń ogrodu, na której robaczki świętojańskie haftują swe tajemnicze znaki. Nietrwale esy-floresy krótkiego, lecz szczęśliwego życia.

Jako ojciec rodziny i właściciel domu spoglądam ze smętkiem wstecz, na moją burzliwą młodość, którą postanowiłem opisać, i pióro drży w mej łapce.

Pokrzepiam się jednak godnymi uwagi, mądrymi słowami, które znalazłem w pamiętnikach pewnej innej wybitnej osobistości i które tu przytoczę: „Wszyscy, jakiegokolwiek są stanu, jeżeli dokonali czegoś dobrego na tym świecie albo czegoś, co wydaje się dobre, powinni - o ile kochają prawdę i są sympatyczni - opisać własnoręcznie swe życie. Jednakże nie powinni zaczynać tego pięknego przedsięwzięcia, zanim nie ukończą czterdziestu lat”.

Sądzę, że dokonałem wielu dobrych rzeczy, a jeszcze więcej takich, które uważam za dobre. No i jestem dość miły, i mówię prawdę, o ile nie jest zbyt nudna (mojego wieku sobie nie przypominam).

Ulegam więc namowom rodziny, a także pokusie, żeby opowiedzieć o sobie samym, bo - co tu ukrywać - świadomość, że będą mnie czytać w całej Dolinie Muminków, jest bardzo nęcąca.

Niech moje skromne zapiski staną się dla wszystkich Muminków, a zwłaszcza dla mojego syna, źródłem radości i wiedzy.

Moja dobra niegdyś pamięć niewątpliwie popsuka się nieco z biegiem lat. Jednakże z wyjątkiem nielicznych wypadków, gdzie być może zdarzy mi się trochę przesadzić bądź przekreślić, co z pewnością doda tylko barwy opowiadaniu, autobiografia ta będzie całkowicie wiarygodna.

Z uwagi na uczucia żyjących jeszcze osób zmieniam czasem na przykład Filifionki na Paszczaki albo drozdy na jeże i tak dalej, lecz wnikliwy czytelnik i tak na pewno zrozumie, o kogo naprawdę chodzi. Dowie się ponadto, że Jok był tajemniczym ojcem Włóczykija, i na pewno zgodzi się z tym, że Ryjek pochodzi od Wiercipiętka.

A ty, małe, naiwne dziecko, które w swoim ojcu widzisz poważną i pełną godności osobę, przeczytaj tę opowieść o przeżyciach trzech tatusiów i zapamiętaj sobie, że tatusiowie nie różnią się tak bardzo między sobą (w każdym razie nie za młodu).

Opisując mą osobliwą młodość, której nie brakło zamiłowania do przygód, chcę spłacić dług wobec samego siebie, wobec terażniejszości, a także następnych pokoleń. Sądzę, że niejeden

spośród czytających moje pamiętniki podniesie w zamyśleniu pyszczek i wykrzyknie: „Ach, co to był za Muminek!” albo: „To dopiero było życie!” Coś okropnego, jaki się czuję uroczysty*.

Na zakończenie pragnę wyrazić gorące słowa podziękowań tym wszystkim, którzy swego czasu przyczynili się do ukształtowania mojego życia w to dzieło sztuki, jakim ono niezaprzeczalnie się stało, a w szczególności Fredriksonowi, Hatifnatom oraz mojej żonie, niezrównanej Mamie Muminka.

Dolina Muminków w sierpniu

Autor

* Jeżeli rzeczywiście przeczytacie moje pamiętniki do końca, proponuję, żebyście znów zaczęli je czytać od początku.

ROZDZIAŁ PIERWSZY
W KTÓRYM OPOWIADAM O MOIM TRUDNYM DZIECIŃSTWIE, O PIERWSZYM
WYDARZENIU W MOIM ŻYCIU I O MOJEJ WSTRZĄSAJĄCEJ NOCNEJ UCIECZCE,
A TAKŻE O HISTORYCZNYM SPOTKANIU Z FREDRIKSONEM.

Któregoś ponurego i wietrznego wieczoru sierpniowego przed wieloma laty znaleziona została zwyczajna torba papierowa na schodach wiodących do domu dla Muminków podrzutek. W torbie leżał nie kto inny, tylko właśnie ja.

O ileż bardziej romantycznie by było, gdyby mnie położono na przykład na mchu, w ładnym małym koszyczku!

Otóż Ciotka Paszczaka, założycielka domu dla podrzutek, interesowała się astrologią* (na użytek domowy) i bardzo słusznie zwróciła baczną uwagę na gwiazdy, pod którymi przyszedłem na świat. Wskazywały one na narodziny bardzo niezwykłego i utalentowanego Muminka i Ciotka Paszczaka zaniepokoiła się, że będę jej sprawiał wiele kłopotów (panuje na ogół opinia, że geniusze są niesympatyczni, lecz jeśli o mnie chodzi, jakoś nigdy tego nie zauważyłem).

Położenie gwiazd to zdumiewająca sprawa! Gdybym się był urodził kilka godzin wcześniej, byłby ze mnie zwariowany pokerzysta, a wszyscy, którzy by przyszli na świat dwadzieścia minut po mnie, byłiby zmuszeni przyłączyć się do ochotniczej orkiestry Paszczaków. (Niech tatusiowie i mamusie będą ponad wszelką miarę ostrożni, zanim wydadzą na świat dzieci; zalecam im jak najdokładniejsze wyliczenia).

Tak czy inaczej, gdy mnie wyciągnięto z torby, kichnąłem trzy razy w bardzo stanowczy sposób. To z pewnością już coś oznaczało.

Ciotka Paszczaka przyczepiła blaszkę do mojego ogonka i ostemplowała ją magiczną cyfrą trzynaście, jako że miała już dwanaścioro podrzutek. Wszystkie były tak samo poważne, posłuszne i porządne, bo Ciotka Paszczaka niestety, częściej je myśla, niż brała na ręce (cechował ją tego rodzaju rzetelny charakter co to nie ma żadnych delikatniejszych odcieni). Drogi czytelniku, wyobraź sobie dom Muminków, w którym wszystkie pokoje tworzą uporządkowane szeregi, wszystkie są kwadratowe i pomalowane na jeden i ten sam ohydny kolor jasnego piwa. Nie wierzysz mi? Twierdzisz, że w domu Muminków musi być pełno najdziwniejszych zakątków, tajemniczych pokoi, schodów, balkonów i wieżyczek? Otóż tu było inaczej. A na domiar złego, nikt nie miał prawa wstawać w nocy, żeby coś zjeść, nikt nie mógł rozmawiać ani spacerować (dobrze, że chociaż wolno nam było siusiać!).

* Astrologia - przepowiadanie losów człowieka według położenia gwiazd.

Nie pozwalano mi przynosić do domu żadnych miłych stworzonek i chować ich pod łóżkiem! Musiałem jeść i myć się o określonych godzinach! Witając się musiałem trzymać ogonek pod kątem czterdziestu pięciu stopni! Ach, czy ktokolwiek może mówić o takich rzeczach nie roniąc łez?

Nieraz stawałem przed małym lusterkiem w przedpokoju i patrzyłem głęboko w odbicie, mych smutnych niebieskich oczu, starając się przeniknąć tajemnicę mojego życia. I z pyszczkiem w łapkach wzdychałem: „Jestem sam. Okrutny świat! Nie uniknę mego przeznaczenia”, i wypowiadałem tym podobne smutne słowa, dopóki nie zrobiło mi się trochę lżej na sercu.

Byłem bardzo samotnym małym Muminkiem, jak to często bywa w wypadku wybitnych uzdolnień. Nikt się na mnie nie poznał ani nawet ja sam. Zauważyłem, oczywiście, różnicę między mną a innymi Muminkami. Polegała ona przede wszystkim na ich pożałowania godnej niezdolności do zastanawiania się i dziwienia.

Potrafiłem, na przykład, pytać Ciotkę Paszczaka, dlaczego wszystko jest tak, jak jest, a nie odwrotnie.

- To by dopiero ładnie wyglądało! - odpowiadała. - Czyż nie jest dobrze tak, jak jest?

Nigdy nie otrzymywałem od niej wyczerpujących wyjaśnień i to utwierdzało mnie coraz bardziej w przekonaniu, że Ciotka zawsze usiłuje robić wszystko byle jak. Wiadomo zresztą, że dla Paszczaków nie ma żadnego znaczenia: co - kiedy i kto - jak.

Zdarzało się, że pytałem ją, dlaczego ja jestem sobą, a nie kimś całkiem innym.

- Prawdziwy pech, twój i mój ! Myłeś się już? - to była cała jej odpowiedź.

Lecz ja pytałem dalej:

- A dlaczego pani jest Paszczakiem, a nie Muminkiem?

- Bo moi rodzice byli Paszczakami, dzięki Bogu - odpowiadała.

- A ich tatuś i mamusia? - zastanawiałem się.

- Paszczakami, rzecz jasna - oburzała się. - Tak samo jak ich tatusie i mamy i tych tatusiów i mam tatusie i mamy, i tak dalej, i tak dalej, a teraz idź się umyć, bo inaczej zwariuję.

- To niesamowite - dziwiłem się. - Oni się nigdy nie kończą?

Przecież kiedyś musiało się zacząć od pierwszego tatusia i pierwszej mamy?

- To było tak dawno, że nie ma co sobie tym głowy zawracać - odpowiadała Ciotka Paszczaka. - Zresztą, dlaczego mieliby się kończyć?

Ogarniało mnie wówczas mgliste, lecz uporczywe uczucie, że cały szereg tatusiów i mam mnie dotyczących był czymś jedynym w swoim rodzaju. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby na moim powijaku była wyhaftowana korona królewska. Lecz niestety!

Którejś nocy śniło mi się, że przywitałem się z Ciotką Paszczaka, trzymając ogonek pod nieodpowiednim kątem, to znaczy siedemdziesięciu stopni. Opowiedziałem jej mój przyjemny sen i zapytałem, czy ją rozgniewał.

- Sny to zawracanie głowy - odparła.

- A skąd to wiadomo? - nie dawałem za wygraną. - Może Mu- minek, który mi się śnił, jest tym właściwym, a ten, który tu stoi, tylko się pani śni?

- Niestety, nie! Nie mam wątpliwości, że istniejesz - rzekła Ciotka Paszczaka zmęczonym głosem. - Ja nie nadążam za tobą!

Przyprawiasz mnie o ból głowy! Co z ciebie będzie w tym niepaszczackim świecie?

- Będę sławny - odparłem poważnie. - A poza tym wybuduję dom dziecka dla Paszczaków podrzutków. I wszystkim im będzie wolno jeść w łóżku chleb z miodem i trzymać pod łóżkiem zaskrońce i skunksy!

- One na pewno nie będą chciały - zapewniła mnie Ciotka Paszczaka.

Niestety, miała chyba rację.

.oOo.

I tak przeminęło moje wczesne dzieciństwo, w ustawicznej cichej zadumie. Dziwiłem się wciąż i bez przerwy i ciągle powtarzałem pytania na temat: „Co - kiedy?” i „Kto - jak?”

Ciotka Paszczaka i jej zdyscyplinowane podrzutki unikały mnie, jak tylko mogły, bo słowo „dlaczego” wprowadzało je wyraźnie w zakłopotanie. Toteż snułem się samotnie po nadmorskim bezdrzewnym pustkowiu otaczającym dom i rozmyślałem nad pajęczynami i gwiazdami, nad małymi stworzonkami o zakręconych ogonkach, uwijającymi się w kałużach, i nad wiatrem, który wiał z różnych stron i zawsze miał inny zapach (później dopiero miałem się dowiedzieć, że uzdolniony Muminek zawsze dziwi się temu, co wygląda oczywiste, natomiast absolutnie nie widzi nic dziwnego w tym, co zwyczajnemu Muminkowi wydaje się niezwykle). Był to okres pełen melancholii.

Lecz powolutku zaszła pewna zmiana: zacząłem rozmyślać nad kształtem mojego nosa. Pozostawiłem moje obojętne otoczenie swojemu losowi, a sam zacząłem się zastanawiać coraz bardziej i bardziej nad sobą, znajdując w tym zajęciu nieodparty urok.

Przestałem zadawać pytania, ogarnęła mnie natomiast przemożna chęć mówienia o tym, co czuję i co myślę. Lecz, Niestety, poza mną samy nie było nikogo, kto by uważał, że jestem interesujący.

I wtedy przyszła owa wiosna tak ważna dla mojego rozwoju.

Nie rozumiałem początkowo, że jest ona specjalnie dla mnie przeznaczona. Dochodziły mnie wiosenne odgłosy, różne bzyczenia, popiskiwanie, brzęczenie i pomruki wszystkich tych, którzy budzili się z zimowego snu i którym się spieszyło. Widziałem, jak robi się ruch na symetrycznych grządkach w ogródku warzywnym Ciotki Paszczaka, jak wszystko, co wykluwa się z ziemi, jest pomarszczone z niecierpliwości. W nocy śpiewały nowe wiatry. I pachniało inaczej, pachniało odnową.

Wąchałem, wietrzyłem, nogi mnie bolały od rośnięcia, ale dalej nie rozumiałem, że to wszystko dotyczy tylko mnie.

W końcu, któregoś jasnego poranka, poczułem w sobie... no tak, po prostu coś poczułem. Zbiegłem więc prosto nad morze, co było niedozwolone, ba Ciotka Paszczaka nie lubiła morza.

Tam stała się rzecz wielkiej wagi. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem siebie w całości. Połyskliwy lód był znacznie większy niż lusterko w przedpokoju u Ciotki Paszczaka. Zobaczyłem w nim, jak chmury pędzące po wiosennym niebie przelatują koło moich ślicznych, prosto stojących uszu, nareszcie mogłem objąć wzrokiem nie tylko mój nos, lecz i całą postać, mocną, pięknie ukształtowaną aż do samych łapek.

Ale te łapki, niestety, trochę mnie rozczarowały. Była w nich odrobina bezradności, dziecinności, którą się, przyznam, speszyłem. Może to jednak minie z czasem, myślałem sobie. Nie ma żadnej wątpliwości, że moim najsilniejszym atutem jest głowa.

Cokolwiek bym robił, nigdy nikogo nie znużę, po prostu nikt nie będzie się kwapił, by mnie oglądać aż do samego dołu, to znaczy do łapek. Oczarowany, przypatrywałem się swojemu odbiciu. Żeby je lepiej widzieć, położyłem się na lodzie na brzuchu.

I wtedy przestałem jakby istnieć. Została tylko zielona ciemność pełznąca coraz głębiej w dół; w jakiś obcy świat żyjący ukradkiem pod lodem. Poruszały się w nim niewyraźne cienie, groźne, ale jakże pociągające! Dostałem zawrotu głowy i pomyślałem: „Żeby tak spaść między nie! Zapaść się w nieznanne...”

To była tak okropna myśl, że pomyślałem ją jeszcze raz:

„Głębiej, jeszcze głębiej... Nic więcej, tylko w dół i w dół, i w dół...”

Okropnie mnie to podnieciło. Podniosłem się i zacząłem tupać po lodzie, żeby sprawdzić, czy wytrzyma. Wytrzymał. Wtedy poszedłem trochę dalej, żeby zobaczyć, czy tam też wytrzyma - i tam nie wytrzymał.

Nagle znalazłem się zanurzony po uszy w zimnym, zielonym morzu, z łapkami dyndającymi bezradnie nad niebezpieczną, ciemną otchłanią. Tymczasem chmury płynęły dalej po niebie, jakby nic się nie stało, całkowicie spokojne.

A może któryś z tych groźnych cieni mnie zje! Wcale niewykluczone, że weźmie jedno moje ucho z sobą do domu i powie swoim dzieciom: „Jedźcie prędko, póki nie wystygnie! To prawdziwy Mu- minek, a takiego przysmaku nie jada się codziennie!” Albo też wypłynę na ląd z tragicznym pasmem wodorostów za uchem i Ciotka Paszczaka rozplacze się i będzie żałować swoich czynów, i powie wszystkim znajomym: „Ach, cóż to był za niezwykły Muminek! Jaka szkoda, że nie zrozumiałam tego w porę”.

Już prawie miał nastąpić pogrzeb, gdy nagle poczułem, że coś bardzo ostrożnie skubie mnie w ogon. Każdy, kto ma ogon, wie, jak się dba o tę szczególną ozdobę i jak się błyskawicznie reaguje, gdy grozi jej niebezpieczeństwo czy obraza. Owładnięty bez reszty chęcią działania, porzuciłem moje czarujące sny, energicznie wdrapałem się z powrotem na lód i wyczołgałem na brzeg. „Tak wygląda prawdziwe Wydarzenie - pomyślałem sobie będąc już w bezpiecznym miejscu. - Pierwsze Wydarzenie w moim życiu! Teraz nie ma już mowy, żebym został na dobre u Ciotki Paszczaka. Wezmę swój los we własne łapki!”

Trząśłem się z zimna przez cały dzień, ale nikt nie zapytał, dlaczego. I to utwierdziło mnie w moim zamiarze. O zmierzchu po- darłem swoje prześcieradło na długie pasy i uplotłem z nich sznur, żeby go przywiązać do framugi okiennej. Posłuszne podrzutki przypatrywały się, ale nic nie mówiły, co mnie dotknęło. Po wieczornej herbacie napisałem bardzo starannie list pożegnalny.

Był prosty w treści, natomiast bardzo godny.

Brzmiał, jak następuje:

Droga Ciotko Paszczaka!

Czuję, że czekają mnie wielkie zadania i że życie Muminka jest krótkie. Dlatego opuszczam to miejsce, żegnaj! Nie oplakuj mnie, wróć kiedyś, ozdobiony wieńcem chwały!

P.S. Biorę z sobą słoik przecieru z dyni.

Hej, hej! - pozdrawiam Cię

- Muminek, który nie jest taki jak inni.

Kości zostały rzucone! Wiedziony przez gwiazdy mojego losu, wyruszyłem nie mając żadnego pojęcia o nadzwyczajnych wydarzeni- ach, jakie miały mnie spotkać. Byłem tylko bardzo młodym Muminkiem, smętnie wędrującym przez wrzosa i wzdychającym w ziejących pustką wąwozach. Potępięncze nocne lamenty wzmagaly jeszcze bardziej moją samotność.

.oOo.

Kiedy Tatuś Muminka doszedł do tego właśnie miejsca w swoich pamiętnikach, poczuł się tak wzruszony swym nieszczęśliwym dzieciństwem, że musiał przez chwilę odpocząć psychicznie.

Nasadił nakrętkę na pióro i podszedł do okna. W Dolinie Muminków panowała zupełna cisza.

Tylko lekki, wieczorny wiatr szemrał w ogrodzie i drabinka sznurowa Muminka huśtała się tam i z powrotem przy ścianie domu.

„Jeszcze i teraz udałaby mi się ucieczka - pomyślał Tatuś. - Co z tego, że nie jestem taki młody jak kiedyś!”

Uśmiechnął się sam do siebie. Potem wystawił nogi przez okno i przyciągnął do siebie drabinkę.

- Hej, Tatusiu! - odezwał się Muminek z sąsiedniego okna. - Co ty robisz?

- Gimnastykę, mój synu - odparł Tatuś. - Potrzebna rzecz!

Jeden krok w dół, dwa kroki w górę! Dobre dla mięśni.

- Żebyś tylko nie spadł - rzekł Muminek. - Jak ci idą pamiętniki?

- Dobrze - odpowiedział Tatuś i wciągnął trzęsące się nagi przez parapet okienny. - Właśnie dopiero co uciekłem. Ciotka Paszczaka płacze. Wszystko będzie niesłychanie wzruszające.

- Kiedy nam to przeczytasz? - zaciekał się Muminek.

- Niedługo - odparł Tatuś. - Gdy tylko dojadę do łodzi. Nie ma przyjemniejszej rzeczy, jak czytać głośno to, co się samemu napisało.

- Z pewnością - powiedział Muminek i ziewnął. - Hej, na razie!

- Hej, hej! - rzekł Tatuś, zdejmując nakrętkę z pióra.

- No, dobrze. Na czym to stanęliśmy... Ach tak, właśnie uciekłem i następnego rana - nie, to będzie później. Muszę najpierw opisać moją nocną ucieczkę.

.oOo.

Całą noc wędrowałem przez nieznaną, złowrogą okolice. Jakże mi teraz żal samego siebie! Nie miałem odwagi ani stanąć, ani rozejrzeć się na boki. Kto wie, co się może wyłonić nagle z ciemności! Spróbowałem zaśpiewać: „Jak niepaszczacki jest ten świat”, czyli marsz poranny podrzutków, lecz głos mój zadrżał w sposób, od którego zrobiło mi się jeszcze bardziej straszno. Wszystko tonęło we mgle. Gęsta niczym kleik u Ciotki Paszczaka, pełzła przez dzikie bezdroża zmieniając krzaki i kamienie w bezkształtne potwory, które sunęły ku mnie, wyciągały za mną ramiona... Ach, jaki byłem biedny!

Nawet wątpliwej przyjemności towarzystwo Ciotki Paszczaka byłoby mnie w tym momencie pocieszyło. Lecz wrócić - za nic!

Wprost niemożliwe po tak wspomniałym liście pożegnalnym!

Nareszcie noc zaczęła jaśnieć. A o wschodzie słońca zrobiło się prześlicznie: mgła przybrała różanoczerwony kolor, zupełnie jak woalka na niedzielnym kapeluszu Ciotki Paszczaka, i w jednej chwili cały świat wydał mi się różowy i sympatyczny. Stałem bez ruchu, patrząc, jak rozpraszają się nocne mroki, pozbywałem się - ich po prostu, przeżywałem mój pierwszy poranek, całkiem osobisty i prywatny. Drogi czytelniku, osądź sam, jaka była moja radość i tryumf, kiedy mogłem nareszcie zdrzeć zniechęconą pieczęć z ogonka i wyrzucić ją daleko we wrzosi! Potem w chłodnym, jasnym poranku wiosennym odtńczyłem nowy taniec wolności Muminków, z pyszczkiem do góry i moimi ślicznymi uszkami sterczącymi całkiem pionowo.

Nigdy więcej mycia! Nigdy więcej jedzenia tylko dlatego, że była piąta godzina! Nigdy więcej prezentowania bronii ogonkiem przed nikim innym, jak tylko przed królem. Nigdy spania w kwadratowym, brązowym pokoju! Precz z Paszczakami!

Słońce wschodziło coraz wyżej, iskrzyło się w pajęczynach, lśniło na mokrych liściach, a wśród ustępujących mgieł dostrzegłem Drogę. Drogę, która wiła się między wrzosami prosto w świat, prosto w moje życie, które miało być wyjątkowo sławnym życiem, niepodobnym do niczyjego innego.

Przede wszystkim zjadłem przecier z dyni i wyrzuciłem słoik.

I wtedy nic już nie posiadałem. Nie było nic, co musiałbym robić, ani nic, co bym robił tylko z przyzwyczajenia, bo wszystko było całkiem nowe. Czułem się lepiej niż kiedykolwiek.

Ten wyjątkowy nastrój trwał do wieczora. Byłem tak przepełniony samym sobą i swoją wolnością, że zmierzch wcale mnie nie niepokoił. śpiewając własną pieśń, w której były wyłącznie wielkie słowa (nie pamiętam ich, niestety), ruszyłem prosto przed siebie, w nadchodzącą noc.

Wiatr owiewał mnie nieznanym, przyjemnym zapachem i napełniał mój nos oczekiwaniem. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że to zapach lasu, woń mchu, paproci i tysiąca wielkich drzew. Gdy ogarnęło mnie zmęczenie, zwinąłem się w kłębuszek na ziemi, chowając zmarznięte łapki pod brzuch. Może jednak nie będę fundował przytułku dla Paszczaków podrzutków. Znajduje się je zresztą bardzo rzadko. Leżąc, zastanawiałem się przez chwilę, czy nie byłoby może lepiej zostać podróżnikiem, a nie sławną osobistością. W końcu postanowiłem zostać sławnym podróżnikiem. Tuż przed zaśnięciem pomyślałem: „Jutro!”

Przebudziłem się, mając wkoło siebie nowy, całkiem zielony świat. Zdziwienie moje było, rzecz jasna, ogromne, bo nigdy przedtem nie widziałem drzew. Zawrotnie wysokie i proste jak dzidy, wspierały, hen w górze, zielone sklepienie. Liście lekko się kołysały błyszcząc w słońcu, ptaki fruwały to tu, to tam i krzyczały z zachwytem. Postąłem chwilę na głowie, żeby ochłonać.

A potem zawołałem:

- Dzień dobry! Czyje jest to piękne miejsce? Nie ma tu, mam nadzieję, Paszczaków?

- Nie zwracaj nam głowy! My się bawimy! - zakrzyzczały ptaki i sfrunęły głową na dół w listowie.

Poszedłem dalej w las. Mech był ciepły i bardzo miękki, lecz pod paprociami zalegał głęboki cień. Wszędzie kręciło się mnóstwo pełzających i latających stworzonek, których nigdy dotąd nie widziałem, ale były oczywiście znacznie za małe, żeby móc z nimi na serio rozmawiać. W końcu spotkałem starszego już jeża, który siedział sobie sam i polerował łupinę orzecha.

- Dzień dobry - powiedziałem. - Jestem samotnym uciekinierem., urodzonym pod całkiem niezwykłymi gwiazdami.

- Ach tak - odparł jeż bez większego zainteresowania. - Ja pracuję. To będzie miseczka na kwaśne mleko.

- Naprawdę? - rzekłem czując, że jestem głodny. - Do kogo należy ten piękny zakątek?

- Do nikogo. Do wszystkich - powiedział jeż wzruszając ramionami.

- Do mnie też? - spytałem.

- Dlaczego by nie - mruknął jeż, dalej polerując miseczkę.

- Czy pan jest całkiem pewny, że to miejsce nie należy do żadnego Paszczaka? - spytałem niespokojnie.

- Do k o g o? - zdziwił się jeż.

Pomyślcie sobie, to szczęśliwe stworzenie nigdy nie widziało Paszczaka!

- Paszczak ma olbrzymie stopy i brak mu poczucia humoru - wyjaśniłem. - Ma wystający, trochę przypłaszczony nos i włosy rosną mu w bezsensownych kępkach. Paszczak nigdy nie robi czegoś dlatego, że to zabawne, a tylko dlatego, że to powinno być zrobione, i ciągle wszystkich poucza...

- A to ci dopiero! - wykrzyknął jeż cofając się w paprocie.

„No tak - pomyślałem sobie nieco dotknięty (byłbym miał znacznie więcej do opowiedzenia o Paszczakach). - To miejsce jest niczyje i wszystkich, czyli jest także moje. Więc co mam teraz robić?”

Jak zwykle w moim wypadku, od razu przyszedł mi pomysł do głowy. (Usłyszałem tylko takie: „pstryk” - i pomysł już był).

Jeżeli jest Muminek i jeżeli jest Miejsce, nie ma najmniejszej wątpliwości, że będzie też Dom. Co za zachwycająca myśl! Dom, który sam zbuduję! Dom, który będzie tylko mój!

Kawałek dalej natknąłem się na strumyk i zieloną polankę, która wydała mi się w sam raz odpowiednia dla Muminka. Była tam nawet mała plaża w zakolu strumyka.

Wziąłem patyk i zabrałem się do rysowania mojego domu na piasku. Nie miałem nawet chwili wahania, wiedziałem dokładnie, jak ma wyglądać dom Muminków. Miał być wysoki i

wąski, ozdobiony mnóstwem balkonów, schodów i wieżyczek. Na pierwszym piętrze zaprojektowałem trzy małe pokoje i składzik na przeróżne rzeczy, a cały parter zajął duży przepyszny salon. Obok salonu umieściłem werandę o szklanych ścianach, na której mógłbym siedzieć w fotelu na biegunach i patrzeć na strumyk płynący w dal, mając koło siebie ogromną szklankę soku i dużo kanapek. Balustrada przy werandzie była ślicznie powycinana w ornament z szyszek sosnowych. Spiczasty dach ozdobiłem piękną kulą w kształcie cebuli, którą trzeba będzie położyć w przyszłości. Długo się zastanawiałem, co zrobić z wejściem - zgodnie z tradycją powinny to być drzwiczki od pieca, owa pozostałość z czasów, kiedy wszystkie Mu- minki mieszkały za piecami kaflowymi (to znaczy, zanim ktoś wymyślił centralne ogrzewanie). W końcu postanowiłem zrezygnować z mosiężnych drzwiczek, natomiast wymurowałem ogromny piec kaflowy w salonie.

Cały zresztą dom miał niezaprzeczalnie charakter pieca kaflowego. Ogarnął mnie zachwyty nad moim pięknym budynkiem, który powstał w tak niesamowitym tempie. Wynikło to niechybnie z dziedzicznych skłonności, ale poza tym również z talentu i umiejętności trzeźwego sądu oraz z krytycznego stosunku do siebie. Ponieważ jednak nie należy nigdy chwalić własnej pracy, podałem wam tylko skromny opis osiągniętego rezultatu.

Nagle zauważyłem, że jest zimno. Cień spod paproci rozpełzł się po całym lesie, zapadał wieczór.

Byłem tak zmęczony i głodny, że w głowie mi się kręciło i nie mogłem myśleć o niczym innym, jak tylko o kwaśnym mleku u jeża. A może jeż ma w domu złotą farbę do kuli na dachu domu...

Na sztywnych, zmęczonych nogach ruszyłem z powrotem przez mroczny już las.

- I znowu pan tu jest! - rzekł jeż, który właśnie zmywał. - Proszę tylko nie wspominać mi o Paszczakach!

Zrobiłem szeroki gest i powiedziałem:

- Paszczaki, proszę pana, nic już dla mnie nie znaczą. Zbudowałem dom. Skromny, jednopiętrowy dom. Jestem teraz bardzo zmęczony i bardzo szczęśliwy, a przede wszystkim bardzo głodny!

Jadam zwykle o piątej. I potrzebowałbym trochę złotej farby do kuli.

- Ach tak? Złotej farby! - przerwał kwaśno jeż. - Nowe mleko jeszcze się nie zsiadło, a stare zjadłem. Pan przyszedł na zmywa- nie.

- Trudno - odparłem. - Czy będzie mleko, czy nie - to mało ważne dla miłośnika przygód.

Natomiast proszę, niech pan skończy tym zmywaniem i przyjdzie zobaczyć mój nowy dom.

Jeż spojrział na mnie nieufnie, westchnął i wytarł łapki w ręcznik.

- No tak - powiedział. - Będę teraz musiał na nowo grzać wodę. Gdzie pan ma swój dom? Daleko stąd?

Ruszyłem przodem, ale już po kilku krokach jakieś paskudne uczucie zaczęło mi wchodzić w nogi, a potem pełznąć wyżej, aż do żołądka. Doszliśmy do strumyka.

- No i co? - spytał jeź.

- Proszę pana - powiedziałem żalonym głosem, wskazując rysunek na piasku. - Tak sobie właśnie wyobrażam mój dom...

Balustrada przy werandzie będzie wycinana we wzór z szyszek. To znaczy, o ile pan mi zechce pożyczyć laubzegę...

Poczułem okropne zażenowanie.

Drogi czytelniku, zrozum mnie! Myśl o budowie domu tak mocno zawładnęła mną, że naprawdę wierzyłem, że go zbudowałem! świadczy to niewątpliwie o bardzo silnej wyobraźni, która to właściwość miała zresztą w przyszłości wycisnąć piętno na całym moim życiu, a nawet na życiu mojego otoczenia.

Jeź nic nie powiedział. Rzucił mi długie spojrzenie, mruknął coś, czego na szczęście nie zrozumiałem. i wrócił do siebie, żeby skończyć zmywanie.

Zszedłem do strumyka i nie myśląc w ogóle o niczym zacząłem brodzić w chłodnej wodzie. Strumyk płynął tak, jak wszystkie strumyki, kapryśnie i bez pośpiechu. Czasem był przezroczysty i płytki, z małymi kamyczkami na dnie, czasem pogłębiał się, ciemniał i przycichał. Słońce stało bardzo nisko i było całkiem czerwone; świeciło na mnie spomiędzy sosnowych pni, a ja mrużyłem oczy i szedłem dalej, brodząc.

W końcu znów usłyszałem „pstryk” - i nowa myśl przyszła mi do głowy. Gdybym rzeczywiście zbudował dom na tej ładnej małej polance, wśród tych wszystkich kwiatów, to byłaby się przecież cała łączka popsuła. Dom powinien być zbudowany obok łączki, ale tam znów, jak wiecie, nie było miejsca na budowanie. I zważcie też, że byłbym się stał posiadaczem domu. A czy posiadacz domu może być równocześnie wielkim podróżnikiem? Sądzę, że nie.

No i wyobraźcie sobie jeszcze, że przez całe życie byłbym miał takiego sąsiada, jak ten jeź. Należał on przypuszczalnie do dużej rodziny jeży mających, jak można sądzić, takie same cechy.

A więc uniknąłem trzech wielkich nieszczęść i powinienem być głęboko wdzięczny losowi.

Teraz, po upływie lat, oceniam budowanie tego domu jako moje pierwsze wielkie Doświadczenie i uważam, że miało ono niezwykle duże znaczenie dla mojego rozwoju.

Tak więc zachowując wolność i szacunek dla samego siebie, szedłem dalej, brodząc w strumyku, aż nagle moje myśli przerwał zabawny szmerek. W środku strumyka kręciło się śliczne

koło wodne zrobione z patyczków i sztywnych liści. Stałem zdziwiony. W następnej chwili usłyszałem czyjś głos mówiący:

- To jest eksperyment. Liczenie obrotów.

Mrużąc oczy spojrzałem pod czerwone słońce i zobaczyłem dość duże uszy wystające z krzaczków czarnej jagody.

- Z kim mam przyjemność? - zapytałem.

- Fredrikson - odpowiedział właściciel uszu. - A kim ty jesteś?

- Muminkiem - odparłem. - Jestem uciekinierem i urodziłem się pod niezwykłymi gwiazdami.

- Pod jakimi? - spytał Fredrikson z wyraźnym zaciekawieniem, co ogromnie mnie ucieszyło, ponieważ po raz pierwszy ktoś zadał mi inteligentne pytanie.

Wygramoliłem się więc na brzeg, usiadłem koło Fredriksona i opowiedziałem mu jednym ciągiem - bo ani razu mi nie przerwał - o wszystkich znakach i objawach, które towarzyszyły mojemu przyjsciu na świat. Opowiedziałem o ślicznym małym koszyczku z którym Ciotka Paszczaka mnie znalazła, potem o jej okropnym domu i moim trudnym dzieciństwie, a także o przygodzie na tafli wiosennego lodu i mojej dramatycznej ucieczce, i wreszcie opisałem mu straszną wędrówkę przez wrzosowisko.

Na zakończenie wyjaśniłem Fredriksonowi, że moim zamiarem jest zostać podróżnikiem (pomiąłem wszystko o domu i o jeżu, bo opowiadanie musi być zwarte).

Fredrikson słuchał z powagą i machał uszami w odpowiednich miejscach. Kiedy zamilkłem, długo myślał, aż w końcu rzekł: - Niezwykłe. Całkiem niezwykle.

- Prawda? - zgodziłem się z wdzięcznością.

- Paszczaki są nieprzyjemne - przyznał on. Z roztargnieniem wyciągnął z kieszeni paczuszkę z kanapkami i dał mi połowę. - To z szynką - powiedział.

Potem siedzieliśmy koło siebie przez jakiś czas patrząc na zachodzące słońce.

W ciągu mojej długotrwałej przyjaźni z Fredriksonem dziwiło mnie często, że potrafi on uspokajać i przekonywać innych, nie mówiąc właściwie nic ważnego i nie używając górnolotnych słów.

Nie jest to całkiem sprawiedliwe, żeby jedni tak umieli, a drudzy nie. Ale trudno - ja w każdym razie nie zamierzam przestać mówić.

Jak by nie było, dzień ten pięknie się zakończył i mogę polecić każdemu, kto czuje niepokój w sercu, by popatrzył na dobrze zrobione koło wodne kręcące się w strumyku.

Sztuki konstruowania takich kół nauczyłem później mojego syna, Muminka (to się robi tak: ucina się dwie małe rozwidlone gałązki i wtyka się je w piaszczyste dno strumyka, niedaleko

siebie. Potem znajduje się cztery długie, sztywne liście, układa się je jeden na drugim tak, żeby tworzyły gwiazdę, i przeciąga się długi patyk przez ich środek. Na obrazku widać, jak należy wzmocnić konstrukcję przy pomocy małych patyczków. Potem kładzie się ostrożnie patyk z liśćmi na widełkach ustawionych w poprzek strumyka - i koło zaczyna się kręcić).

Kiedy w lesie zrobiło się już zupełnie ciemno, wróciliśmy z Fredriksonem na moją zieloną łączkę, żeby na niej przenocować.

Spaliśmy na werandzie, ale on o tym nie wiedział. W każdym razie ornament z szyszek sosnowych przedstawiał mi się teraz całkiem czytelnie.

Wiedziałem też, jak należy zbudować schody na pierwsze piętro. Byłem przekonany, że dom osiągnął doskonałość, ba, że jest już w jakimś sensie skończony. Nie musiałem nawet o nim myśleć.

Jedyne, co miało jakieś znaczenie, to to, że znalazłem mojego pierwszego przyjaciela, a tym samym zacząłem naprawdę żyć.

ROZDZIAŁ DRUGI
W KTÓRYM WPROWADZAM DO PAMIĘTNIKÓW WIERCIPĘTKA I JOKA, PRZED-
STAWIAM EDWARDA OLBRZYMA I DAJĘ PŁOMIENNY OBRAZ NASZEJ ŁODZI I
JEJ NIEZRÓWNANEGO WODOWANIA.

Kiedy obudziłem się owego pamiętnego ranka, Fredrikson zaciągał właśnie sieci w strumyku.

- Hej! - powiedziałem. - Są tu ryby?

- Nie - odparł Fredrikson.

- To prezent urodzinowy.

To była odpowiedź typowa dla Fredriksona. Sprawa polegała po prostu na tym, że Fredrikson dostał od swego bratanka sieć, którą ten sam upłócił i pewnie byłoby mu przykro, gdyby nie została za- puszczona. Dowiedziałem się też pomalu, że bratanek nazywa się Wiercipiętek* i że jego rodzice zginęli przy wielkim sprzątaniu.

Mieszkał on teraz w niebieskiej puszcze po kawie i zbierał głównie guziki. Prawda, że opowiedzenie tego wszystkiego nie trwało długo? Ale Fredrikson nie potrafiłby nigdy powiedzieć aż tyle na raz!

Teraz lekko pomachał do mnie jednym uchem i poszedł naprzód przez las. Zatrzymaliśmy się przed puszką Wiercipiętka. Fredrikson wyciągnął gwizdek z drewna cedrowego z ziarnkiem grochu w środku i dwa razy zagwizdał. W oka mgnieniu wieczko podniosło się i Wiercipiętek wyskoczył, rzucił się do nas z nieskrywaną radością, zaczął piszczeć i wyczytnać rozmaite dziwne rzeczy.

- Dzień dobry! - krzyczał. - Jak miło! Czy to nie dziś miałeś mi pokazać wielką niespodziankę? Kto to z tobą przyszedł?

Co za zaszczyt dla mnie! Jaka szkoda, że nie zdążyłem jeszcze posprzątać w puszcze...

- Nie krępuj się - powiedział Fredrikson. - To Muminek.

- Witaj! Ogromnie się cieszę! - zawołał Wiercipiętek. - Ja zaraz przyjdę... Wybaczcie... to potrwa minutkę, muszę wziąć kilka rzeczy z sobą...

I zniknął w puszcze, z której doszły nas od razu odgłosy gwałtownych poszukiwań, strasznego szurania, grzebania i przewracania. Po chwili Wiercipiętek wyszedł z drewnianym pudełkiem pod pachą i już we trójkę powędrowaliśmy dalej przez las.

* Wiercipiętki to takie małe stworzonka, które się wiercą, czyli uwijają to tu, to tam bardzo szybko i beznamiętnie przewracając się przy tym i gubiąc, co tylko się da. (Przypis autorki).

- Bratanku - odezwał się nagle Fredrikson. - Umiesz malować?

- Jeszcze jak! - zawołał Wiercipiętek. - Namalowałem kiedyś wizytówki dla wszystkich moich kuzynów! Każdy miał inną. A może życzysz sobie luksusowego obrazu, takiego na wysoki połysk? Czy może jakiegoś aforyzmu? Przepraszam, ale czego najbardziej ci potrzeba? Czy to ma coś wspólnego z twoją niespodzianką?

- To tajemnica - odparł Fredrikson.

Wtedy Wiercipiętek tak się podniecił, że zaczął skakać w miejscu, aż w końcu sznurek na drewnianym pudełku rozwiązał się i wszystkie jego osobiste rzeczy wysypały się na mech, a więc, między innymi, miedziane sprężynki, sprzączki do podwiązek, kolczyki, gwoździe, słoiki, suszone ząby, noże do sera, niedopałki papierosów, duża ilość guzików, a także kapsli od butelek po wodzie mineralnej.

- No, no - powiedział Fredrikson uspokajając go; po czym wszystko pozbiierał i włożył z powrotem do pudełka.

- Miałem kiedyś taki dobry sznurek, ale mi zginął! - tłumaczył się Wiercipiętek.

Fredrikson wyciągnął z kieszeni kawałek sznurka i związał nim pudełko, a potem poszliśmy dalej. Mogłem poznać po uszach Fredriksona, że był jakoś tajemniczo podniecony. W końcu przystanął przed gęstymi krzakami leszczyny, odwrócił się i spojrzał na nas z powagą.

- Masz tam w środku tę swoją niespodziankę? - szepnął Wiercipiętek z szacunkiem.

Fredrikson kiwnął głową potakująco. Wczołgaliśmy się uroczyście w leszczynowy gąszcz i po chwili byliśmy na polance.

Na środku polanki stała łódź, duża łódź! Była szeroka, solidna jak sam Fredrikson, równie jak on godna zaufania i prawdziwa. Nie znałem się w ogóle na łodziach, lecz natychmiast pojąłem bezbłędnie ich sens, jeśli tak można powiedzieć; moje żadne przygód serce zaczęło szybko bić, nos wietrzył nowy rodzaj wolności. Równocześnie widziałem oczyma duszy, jak Fredrikson wymarzył sobie tę łódź, jak ją zaprojektował i narysował, widziałem, jak chodził każdego ranka na polankę, żeby ją budować.

Musiał pracować przy niej strasznie długo. Ale nie powiedział o łodzi nikomu, nawet Wiercipiętkowi. Nagle ogarnęło mnie przygnębienie. Słabym głosem zapytałem:

- Jak ona się nazywa?

- „Symfonia Mórz” - odparł Fredrikson. - To tytuł zbioru wierszy mojego nieżyjącego brata. Napis ma być w granatowym kolorze.

- Mogę go namalować? Naprawdę? - szepnął Wiercipiętek. - Czy to możliwe? Przysięgasz na swój ogon? Wybacz, ale czy mogę pomalować całą łódź? Lubisz czerwony kolor?

Fredrikson przytaknął głową i powiedział:

- Uważaj na linię zanurzenia.

- Mam dużą puszkę czerwonej farby - zawołał uradowany Wiercipiętek. I małą granatowej... Co za szczęście! Jak to wspaniale!

Pobiegnę teraz zrobić wam śniadanie i posprzątać w puszcze... - Co rzekłszy, bratanek Fredriksona puścił się pędem do domu, z wąsami drżącymi z podniecenia.

Spojrzałem na łódź i powiedziałem:

- Czego ty nie potrafisz!

Wtedy Fredrikson zaczął mówić. Mówił mnóstwo rzeczy, a wszystko było tylko o konstrukcji łodzi. Wyciągnął kawałek papieru i długopis i pokazał mi, jak powinno się kręcić koło wodne.

Niewiele z tego rozumiałem, ale zauważyłem, że Fredrikson czymś się kłopotuje. Chodziło mu chyba o śrubę.

Mimo jednak mego współczucia nie byłem w stanie zgłębić jego problemu - ach, istnieje niestety kilka nielicznych dziedzin, w których moje zdolności nie są takie, jakich można by się spodziewać - jedną z nich jest mechanika stosowana.

W środku łodzi wznosił się mały domeczek ze spiczastym dachem, który wzbudził moje żywe zainteresowanie.

- Mieszkasz w nim? - spytałem. - Wygląda jak letni domek Muminków.

- To sterówka* - rzekł Fredrikson z pewnym niezadowoleniem.

Zatopiłem się w myślach. Domek był stanowczo zbyt prosty, jak na mój gust. Framugi okienne mogły być znacznie bardziej fantazyjne.

Na mostku kapitańskim pasowałaby lekka balustrada z wyciętymi- mi motywami morskimi. A dach powinna zdobić kulka, którą można by pozłocić...

Otworzyłem drzwi.

Na środku podłogi ktoś spał przykryty kapeluszem.

- Czy to jakiś znajomy? - spytałem zdziwiony.

Fredrikson zajrzał.

- To Jok - powiedział.

Stanąłem, żeby mu się przyjrzeć. Robił dziwne wrażenie: czegoś niedbałego i miękkiego, niemal jasnobrazowego. Miał bardzo stary kapelusz ozdobiony zwiędłymi kwiatami. Nie trudno było domyślić się, że Jok bardzo dawno się nie mył i że wcale nie zamierza tego uczynić.

W tej samej chwili wpadł Wiercipiętek, krzycząc:

* Sterówka - pomieszczenie na statku, w którym znajdują się przyrządy sterownicze.

- Jedzenie gotowe!

Jok obudził się i przeciągnął zupełnie jak kot.

- Hupp... haff - powiedział ziewając.

- Przepraszam, ale co ty robisz w łodzi Fredriksona? - spytał groźnie Wiercipiętek. - Nie widziałeś napisu „Wstęp wzbroniony?”

- Oczywiście - odparł uprzejmie Jok. - Właśnie dlatego tu jestem.

To zdarzenie bardzo dobrze charakteryzuje Joka. Jedyne rzeczy, które mogły wyrwać go z sennego, kociego życia, to tablica z ogłoszeniem zakazującym czegoś albo zamknięte drzwi, albo mur - a jeżeli dostrzegł Dozorcę Parku, wasy mu się zaczynały trząść i można się było wszystkiego spodziewać. Poza tym, jak już powiedziałem, spał, jadł albo marzył. Teraz nastawiony był przede wszystkim na jedzenie. Poszliśmy więc z powrotem do puszki Wiercipiętka, gdzie na poobijanej szachownicy czekał na nas zimny omlet.

- Miałem dziś rano bardzo dobry budyń - wyjaśnił Wiercipiętek. - Ale jakoś zniknął. A to jest tak zwany omlet błyskawiczny.

Podał go nam na pokrywkach od puszek i kiedy zaczęliśmy jeść, stanął wpatrując się w nas z pełnym napięcia oczekiwaniem.

Fredrikson żuł długo i z wyraźnym trudem. Miał przy tym dziwną minę. W końcu rzekł:

- Bratanku, coś twardego.

- Twardego?! - wykrzyknął Wiercipiętek. - To pewnie coś z mojej kolekcji... Wypluj to! Wypluj!

Fredrikson wypluł na pokrywkę od puszki dwa czarne, kolczaste przedmioty.

- Ach, czy możesz mi wybaczyć? - zawołał bratanek. - To tylko moje kółka zębate. Co za szczęście, żeś ich nie połknął!

Lecz Fredrikson nie odpowiedział i marszcząc czoło, zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. Wtedy Wiercipiętek zaczął płakać.

- Postaraj się przebaczyć bratankowi - odezwał się Jok. - Widzisz przecież, jak mu przykro.

- Przebaczyć?! - wykrzyknął Fredrikson. - Przeciwnie. - Wyciągnął papier i pióro i pokazał nam, gdzie należy umieścić kółka zębate, ażeby śruba i koło wodne zaczęły się obracać.

Fredrikson narysował to w ten sposób (mam nadzieję, że zrozumiecie, o co mu chodziło).

Ale Wiercipiętek zawołał:

- Ach, czy to możliwe! I pomyśleć, że moje kółka przydadzą się do twojego wynalazku!

Dokończyliśmy posiłku w podniosłym nastroju.

Wydarzenie to tak natchnęło bratanka Fredriksona, że włożył swój największy fartuch i nie tracąc ani minuty zaczął malować „Symfonię Mórz”. na czerwono. Malował z całych sił i łódź

rzeczy- wiście zrobiła się czerwona, ale poza nią również ziemia dookoła i duża część krzaków leszczyny, a czegoś tak czerwonego jak sam Wiercipiętek nie widziałem jeszcze nigdy w życiu. Nazwa łodzi została namalowana na granatowo.

Kiedy wszystko było gotowe, Fredrikson przyszedł, żeby zobaczyć.

- Czy to nie piękne?! - zachwalał zdenerwowany Wiercipiętek.

- Malowałem z największym skupieniem. Całego siebie w to włożyłem.

- Widać to - przyznał Fredrikson, przypatrując się swemu czerwonemu bratankowi.

Popatrzył na krzywą linię zanurzenia i powiedział:

- Hm.

A potem popatrzył na nazwę łodzi i powiedział:

- Hm, hm.

- źle napisałem? - zaniepokoił się Wiercipiętek. - Powiedz coś, bo inaczej znów zacznę płakać! Wybacz mi! „Symfonia Mórz” to takie trudne słowa!

- „S y f o n i a M u s z” - przeczytał Fredrikson. Myślał przez chwilę, a potem powiedział: - Nie płacz. Może być.

Wiercipiętek westchnął z ulgą i czym prędzej pobiegł prze- malować swój dom resztą farby.

Pod wieczór Fredrikson wyciągnął sieć ze strumyka.

Wyobraźcie sobie nasze zdumienie, kiedy znaleźliśmy w niej malutki naktuz*. A w naktuzie był barometr. Do dziś nie mogę zrozumieć, jakim cudem wyłowiliśmy wtedy taką niezwykłą rzecz.

.oOo.

Tatuś Muminka zamknął zeszyt i spojrzał pełen oczekiwania na swoich słuchaczy.

- No i co myślicie? - zapytał.

- Myślę, że to będzie świetna książka - odparł poważnie Mu- minek, który słuchał leżąc na plecach pod krzakiem bzu i przypatrując się trzmielom. Było ciepło i całkiem bezwietrznie.

- Ale część tego po prostu wymyśliłeś - odezwał się Ryjek.

- Skądże znowu! - oburzył się Tatuś Muminka. - W owych czasach naprawdę działały się przeróżne rzeczy? Każde słowo jest prawdą? Pewnie, że to czy tamto może być gdzieś troszeczkę wzmocnione...

- Zastanawia mnie - rzekł Ryjek - zastanawia mnie, co się stało z kolekcją tatusia.

- Z jaką kolekcją? - spytał Tatuś Muminka.

* Naktuz - blaszana osłona kompasu okrętowego, rodzaj szafki.

- Z kolekcją guzików mojego tatusia - powtórzył Ryjek. - A może Wiercipiętek nie był moim tatusiem?

- Ależ był, oczywiście - rzekł Tatuś Muminka.

- No właśnie, I dlatego chciałbym wiedzieć, gdzie się podział jego drogocenny zbiór. Powinienem był go odziedziczyć - zauważył Ryjek.

- Hupp, haff, jak mawiał mój tatuś - powiedział Włóczykij. - Dlaczego tak mało piszesz o Joku? Gdzie on jest teraz?

- Z tatusiami to nigdy nic nie wiadomo - rzekł Tatuś Muminka robiąc nieokreślony gest. - Przychodzą i odchodzą... W każdym razie pisząc o nich zachowałem ich dla potomności.

Ryjek prychnął.

- Jok też nie lubił Dozorców Parku - zadumał się Włóczykij.

- Pomyślcie tylko...

Wyciągnęli się w trawie mrużąc oczy, gdyż słońce mocno świeciło.

Było przyjemnie i sennie.

- Tatusiu - odezwał się Muminek. - Czy w tamtych czasach rzeczywiście mówiło się w taki sztuczny sposób: „osądź moje zdumienie”, „ku radości”, „oczyma duszy” i tym podobne?

- Nic tu nie ma sztucznego - rozgniewał się Tatuś. - Myślisz, że można gadać byle jak, kiedy się pisze książkę?

- A jednak robisz to czasem - nie dawał za wygraną Muminek.

- I pozwalasz Wiercipiętkowi mówić zwyczajnie.

- Etam - rzekł Tatuś. - To dla zachowania kolorytu. Zresztą jest wielka różnica między tym, co się opowiada o różnych rzeczach, a tym, co się o nich myśli, czyli że myślenie albo opisywanie to coś zupełnie innego niż gadanie, a poza tym to wszystko polega głównie na wyczuciu... Tak mi się przynajmniej wydaje...

Tatuś zamilkł i, stroskany, zaczął przewracać kartki pamiętnika.

- Uważacie, że używam zbyt wymyślnych słów? - zapytał.

- Nie szkodzi - odparł Muminek. - Przecież to było tak dawno, a zresztą można się prawie domyślić; o co ci chodzi.

Napisałeś jeszcze więcej?

- Na razie nie - odrzekł Tatuś. - Ale teraz nastąpi bardzo ciekawy odcinek. Już niedługo dojdę do Edwarda olbrzyma i Buki.

Gdzie moje pióro?

- Tu - rzekł Włóczykij. - I napisz więcej o Joku, słyszysz?

Niczego nie opuść!

Tatusz Muminka skinął potakująco głową, położył zeszyt na trawie i zabrał się znów do pisania.

.oOo.

W tym okresie po raz pierwszy poczułem pociąg do ciosania drewna. To szczególne uzdolnienie musiało być wrodzone, miałem je, żeby tak rzec, w łapkach. Pierwsza próba mojego talentu była nieśmiała. Wybrałem w naszej stocznicy odpowiedni kawałek drzewa, znalazłem nóż i zacząłem strugać ową paradną gałkę, która później miała wieńczyć dach sterówki. Nadałem jej kształt cebuli i pokryłem ozdobnie ułożoną rybią łuską.

Niestety, Fredrikson nie docenił tego ważnego szczegółu w wyposażeniu łodzi, bo o niczym innym nie mógł myśleć, jak tylko o wodowaniu.

„Symfonia Mórz” była gotowa do startu. Piękna, że aż oczy rwała, lśniąco czerwona w promieniach słońca, spoczywała na czterech gumowych kołach (które miały ją ratować na podstępnych mieliznach), a Fredrikson sprawił sobie czapkę kapitańską ze złotym sznurem.

Na razie jednak leżał pod łodzią i czymś się tam martwił.

Słyszałem, jak mruczał sam do siebie:

- Ani drgnie. Spodziewałem się tego. To dopiero będzie heca!

Czołgając się dookoła „Symfonii Mórz” Fredrikson niezwykle dużo mówił, co oznaczało, że jest poważnie zaniepokojony.

- Aha, więc znowu wyruszamy - odezwał się Jok ziewając. - Hupp, haff! Co wy za życie prowadzicie! Zmiany i przeprowadzki, i kręcenie się w kółko od rana do wieczora! Taka żywotność może być niebezpieczna. Przygnębienie mnie ogarnia na samą myśl o tych wszystkich, co pracują i mozolą się, i o tym, co z tego potem wynika. Miałem krewnego, który studiował trygonometrię, aż mu wasy odpadły, a kiedy już się wszystkiego nauczył, przyszła jakaś Buka i zjadła go. No i leżał potem w brzuchu Buki z całą tą swoją mądrością!

Wypowiedź Joka przywodzi nieodparcie na myśl osobę Włóczykija, który w późniejszych czasach podążył za tą samą leniwą gwiazdą. Tajemniczy tatuś Włóczykija nigdy nie martwił się tym, co było rzeczywiście niepokojące, i zupełnie mu nie zależało, żeby przejść do potomności (i rzeczywiście nie byłby do niej przeszedł, gdybym go nie umieścił w moich pamiętnikach). W każdym razie Jok znów ziewnął mówiąc:

- Kiedy wyruszamy? Hupp, haff!

- Ty też wybierasz się z nami? - zapytałem.

- Oczywiście - odparł Jok ze zdumieniem. - Jeżeli mi przebaczycie - powiedział Wiercipiętek - to w takim razie tak się składa, że ja też pomyślałem sobie o czymś podobnym... Nie mogę już dłużej mieszkać w mojej puszczy po kawie!

- Czyżby? - zdziwiłem się.

- Ta czerwona farba nie chce wyschnąć na blasze - tłumaczył Wiercipiętek. - Wybacz ale ona mi się dostaje do jedzenia, do łóżka, do wąsów... Ja zwariuję, Fredrikson, ja zwariuję!

- Nie rób tego - odparł Fredrikson. - Lepiej zapakuj się.

- Ach! - zawołał jego bratanek. - Co za los! O iluż to rzeczach muszę pomyśleć! Taka długa podróż... i całkiem nowe życie... - To mówiąc puścił się takim pędem do domu, że aż farba z niego odpryskiwała.

Uznałem, że niestety załoga naszej łodzi nie jest bynajmniej godna zaufania.

.oOo.

Tymczasem „Symfonia Mórz” dalej tkwiła w miejscu: gumowe koła wryły się głęboko w ziemię i nie chciały się ruszać ani na jotę. Skopaliśmy całą stocznię (to znaczy polankę), ale to nic nie pomogło. Fredrikson siedział trzymając głowę w łapkach.

- Kochany Fredriksonie, nie martw się tak okropnie - powiedziałem.

- Nie martwię się. Myślę - odparł. - Łódź utknęła. Nie da się jej spuścić na rzekę.

W takim razie trzeba doprowadzić rzekę do łodzi. Jak? Nowe łożysko dla rzeki. Jak? Zapora. Jak? Rzuca się kamienie...

- Jak - podjąłem, chcąc mu przyjść z pomocą.

- Nie! - wykrzyknął nagle Fredrikson z taką mocą, że aż podskoczyłem. - Edward olbrzym. Niech on usiądzie w rzece.

- Czy jego siedzenie jest aż tak duże? - spytałem.

- Jeszcze większe - odparł krótko Fredrikson. - Masz kalendarz?

- Nie mam - odparłem. Ogarniało mnie coraz większe podniecenie.

- Przedwczoraj była grochówka*. W takim razie dziś wypada kąpiel sobotnia - rozważał Fredrikson. - Dobrze. Spiesz się.

- Czy one są złe, te olbrzymy? - zapytałem ostrożnie, podczas gdyśmy szli w dół rzeki.

- Tak - odparł Fredrikson. - Ale nadeptują cię tylko przez pomyłkę. I potem przez tydzień płaczą. Pokrywają też koszty pogrzebu.

* Wszystkie olbrzymy jedzą grochówkę w czwartki.

- Niewielka pociecha, jak się jest już rozgniecionym - mruknąłem czując się niezwykle odważny.

Pytam cię, drogi czytelniku, czy jest jakąkolwiek sztuką być odważnym, jeżeli nie odczuwa się lęku?

.oOo.

Fredrikson nagle zatrzymał się i powiedział:

- Tu!

- Gdzie? - zdziwiłem się. - On mieszka w tej wieży?

- To jego noga - wyjaśnił Fredrikson - Cicho, bo teraz krzyknę.

Po czym krzyknął z całych sił, jak tylko mógł najgłośniej:

- Halo, tam na górze! Tu Fredrikson na dole! Gdzie Edward się kąpie dzisiaj?

A z góry odpowiedział jakby grzmot:

- W morzu, jak zwykle, ty pchło wodna!

- Wykąp się w rzece! Piaszczyste dno. Miętko i przyjemnie! - wrzeszczał Fredrikson.

- Kłamiesz i oszukujesz! - odkrzyknął Edward olbrzym. - Najmniejsze byle co wie, że ta przeklęta rzeka pełna jest diabelnych kamieni.

- Nie! Dno jest piaszczyste!

Olbrzym mruczał coś do siebie przez chwilę, aż w końcu rzekł:

- Dobrze. Wykąpię się w twojej zakichanej rzece. Ale zejdz mi z drogi, bo nie stać mnie na więcej pogrzebów. Jeśli się okaże, że mnie oszukałeś, sam sobie zapłacisz pogrzeb, poczwaro jedna. Wiesz, jakie mam wrażliwe nogi. Nie mówiąc już o siedzeniu!

Fredrikson szepnął tylko jedno słowo:

- Pędzimy!

I popędziliśmy. W życiu swoim nie biegłem tak szybko! Przez cały czas wyobrażałem sobie, jak Edward olbrzym oprze swoje ogromne siedzenie na ostrych kamieniach i jaki będzie wściekły, i jaką gigantyczną falę niechybnie spowoduje, aż w końcu wszystko stało się tak wielkie i niebezpieczne; że uznałem wszelką nadzieję za straconą.

Nagle rozległ się taki ryk, że włos zjeżył się nam na karku.

A potem - przeraźliwy huk! Fala rzuciła się przez las...

- Na pokład! - wrzasnął Fredrikson.

Wpadliśmy do stoczni z falą liżącą nas po piętach, w ostatniej chwili zdążyliśmy przerzucić ogonki przez burłę, potknęliśmy się o śpiącego na pokładzie Joka i zaraz potem wszystko utonęło w szumiącej, białej pianie.

„Symfonia Mórz” stanęła na dziobie, trzeszcząc i jęcząc z przerażenia.

Lecz w sekundę później podniosła się nasza dumna łódź z mchu, wstała i ruszyła przez las. Łopatki zaczęły klekotać, śruba kręciła się wesoło - nasze kółka zębate działały! Fredrikson chwycił mocną, pewną łapką za ster i popłynęliśmy raz w prawo, raz w lewo, między sosnowymi pniami.

To było niezrównane wprost wodowanie! Kwiaty i liście spadały na pokład niczym deszcz, aż wreszcie „Symfonia Mórz”, odświętnie udekorowana, wykonała ostatni, triumfalny skok do rzeki, a potem żwawo pluskając ruszyła z wartkim nurtem.

- Rozglądaj się za mielizną! - zawołał Fredrikson (chciał wpłynąć na mieliznę, żeby wypróbować swoją konstrukcję). śledziłem bacznie powierzchnię wody, ale pokazała się tylko czerwona puszka skacząca przed nami.

- Co to za puszka? - zapytałem.

- Ona mi coś przypomina - rzekł Jok. - Nie zdziwiłoby mnie, gdyby zawierała pewnego Wiercipiętka.

Zwróciłem się do Fredriksona mówiąc:

- Zapomniałeś o swoim bratanku!

- Rzeczywiście. Jak mogłem! - zmartwił się Fredrikson.

Po chwili z puszki wyjrzała czerwona, mokra twarz Wiercipiętka. Machał łapkami, szczekał zębami i jeszcze trochę, a byłby się udusił własnym szalikiem z nadmiernego podniecenia.

Obaj z Jokiem wychyliliśmy się za burłę i chwyciliśmy puszkę. Była jeszcze całkiem lepka od czerwonej farby i dość ciężka.

- Uważajcie na pokład - powiedział Fredrikson, kiedy wciągaliśmy puszkę do łodzi. - Jak się miewasz, kochany bratanku?

- Ja zwariuję! - krzyknął Wiercipiętek. - Pomyśl sobie!

Wielka fala akurat podczas pakowania... Wszystko do góry nogami!

Zginał mój najlepszy haczyk do okna i chyba też przyrząd do czyszczenia fajki! Moje nerwy, moje rzeczy - wszystko w rozsypce... Ach, co za los!

Ale już po chwili Wiercipiętek zabrał się, z pewnym nawet zadowoleniem, do porządkowania swego zbioru guzików podług jakiegoś całkiem nowego systemu. Tymczasem „Symfonia Mórz”, cicho pluskając łopatkami, dalej płynęła po rzece. Usiadłem obok Fredriksona i powiedziałem:

- Mam nadzieję, że nigdy więcej nie będziemy musieli spotkać się z Edwardem olbrzymem.

Myślisz, że jest na nas bardzo zły?

- Raczej tak - odparł Fredrikson.

ROZDZIAŁ TRZECI
W KTÓRYM PRZEDSTAWIAM MÓJ PIERWSZY WSPANIAŁY WYCZYN
RATOWNICZY I JEGO OSZAŁAMIAJĄCE NASTĘPSTWA, NOTUJĘ KILKA
WAŻNYCH MYŚLI I OPISUJĘ SPOSÓB BYCIA GRYZILEPKÓW.

Zielony, sympatyczny las został za nami. Teraz wszystko było duże i obce, nad stromymi brzegami włączyły się, porykując i prychając, jakieś nieznane, brzydkie zwierzęta. Całe szczęście, że na pokładzie naszej łodzi znajdowały się dwie tak odpowiedzialne osoby jak ja i Fredrikson. Bo Jok, jak to on, niczego nie brał poważnie, a zainteresowania Wiercipiętka nigdy, niestety, nie wykraczały poza najbliższe otoczenie puszek. Tę ostatnią ustawiliśmy na przednim pokładzie, gdzie pomału obsychała w słońcu.

Wiercipiętka jednak nie udało nam się dokładnie doczyścić i zachował na zawsze lekko różowy odcień.

Łódź pluskając posuwała się wolno naprzód, ozdobiona moją pozłacaną gałką. Bo Fredrikson miał oczywiście złotą farbę na pokładzie. Byłbym zdziwiony, gdyby się nie zaopatrzył w tak ważną rzecz.

Przeważnie siedziałem w sterówce, patrząc na przesuwane się brzegi z różnymi na nich dziwami, i pukałem co jakiś czas w barometr albo też chodziłem tam i z powrotem po mostku kapitańskim, zatopiony w rozważaniach.

Szczególnie lubiłem myśleć o tym, jak zaimponowałbym Ciotce Paszczaka, gdyby mnie zobaczyła w charakterze przedsiębiorczego właściciela łodzi rzecznej. Prawdę mówiąc, dobrze by jej zrobił taki widok!

Któregoś wieczoru weszliśmy do głębokiej, samotnej zatoki.

- Nie podoba mi się jej wygląd - powiedział Jok. - Wywołuje Przeczucia.

- Przeczucia! - rzekł Fredrikson tonem, który trudno opisać.

- Bratanku! Zarzuć kotwicę.

- Już się robi! - krzyknął Wiercipiętek i wyrzucił za burtę duży garnek.

- Czy to był nasz obiad? - zapytałem.

- Niestety! - jęknął Wiercipiętek. - Wybacz! Tak łatwo się pomylić w pośpiechu! Okropnie mi przykro... Ale zamiast tego dostaniecie galaretkę - jeżeli tylko ją znajdę...

To zdarzenie było bardzo znamienne dla Wiercipiętków.

Jok stał tymczasem przy burcie i wpatrywał się błyszczącymi oczami w ląd. Zmierzch szybko zapadał nad grzbietami gór, które jak gładkie, posępne fale biegły ku horyzontowi.

- No i jak tam z twoimi przeczuciami? - spytałem.

- Cicho! - odparł Jok. - Słuchać coś...

Zastrzygłem uszami, ale doszedł mnie tylko lekki szum wiatru w osprzęcie naszej łodzi.

- To nic nie jest - powiedziałem. - Chodź, pójdziemy zapalić lampę naftową.

- Znalazłem galaretkę! - zawołał Wiercipiętek wyskakując z puszki z salaterką w łapkach.

Lecz gdy to mówił, wieczorną ciszę przeszył złowróżbny głos, jakieś groźne, żalosne wycie, od którego włosy zjeżyły się nam wszystkim na karku. Wiercipiętek krzyknął i upuścił salaterkę na pokład.

- To Buka - powiedział Jok. - śpiewa tej nocy swoją pieśń łowiecką.

- Czy ona umie pływać? - zapytałem.

- Tego nikt nie wie - odparł Fredrikson.

.oOo.

Buka polowała wysoko w górach. Jej wycie było najbardziej przejmującym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszałem. To słabł, to się nasilał, to znów ustawał... Lecz gdy Buka milczała, robiło się jeszcze straszniej. Wtedy widziało się niemal jej cień sunący po ziemi w poświacie wschodzącego księżyca.

Na pokładzie było zimno.

- Patrz! - zawołał nagle Jok.

Ktoś zbiegł szybko z przybrzeżnej skarpy i błąkał się teraz tuż przy samej wodzie.

- Ten ktoś na pewno zostanie zjedzony - powiedział Fredrikson ponuro.

- Lecz nie na oczach Muminka! - zawołałem. - Wyratuję go!

- Nie zdążysz - rzekł Fredrikson.

Ale ja już powziąłem decyzję. Wdrapałem się na reling i powiedziałem:

- Grobu nieznanego podróżnika nie zdobią wieńce! Wystawcie mi jednak pomnik z granitu z dwoma płaczącymi Paszczakami!

Po tych słowach rzuciłem się w czarne odmęty. Chwilę później uderzyłem w dno garnka, należącego do Wiercipiętka. Garnek zadźwięczał „brzdęk”, a ja, z zasługującą na uwagę przytomnością umysłu, wyrzuciłem z niego gulasz, którego nie dostaliśmy na o- obiad, i jak torpeda popłynąłem w stronę brzegu, nosem pchając garnek przed sobą.

- Odwagi! - wołałem. - Muminek przychodzi na odsiecz! Cóż to za świat, gdzie Buki mogą bez przeszkód zjadać, kogo tylko chcą?!

Po stromym zboczcu potoczyły się z chrzęstem kamienie...

Pieśń łowiecka Buki ucichła, słychać było już tylko rozgorączkowane sapanie, coraz bliżej i bliżej...

- Właź do garnka! - krzyknąłem do owego nieszczęśnika.

Wskoczył, jak nakazałem, a garnek zanurzył się w wodzie aż po uchwyty. W ciemności ktoś chciał sięgnąć do mojego ogona...

Ale umknąłem mu. Ha! Chwalebny wyczyn samotnego śmiałka!

Rozpocząłem moją historyczną ucieczkę w kierunku „Symfonii Mórz”, gdzie moi przyjaciele czekali z zapartym tchem.

Osoba, którą holowałem, była bardzo ciężka. Płynąłem z całych sił, stosując szybkie obrotowe uderzenia ogonkiem i rytmiczne ruchy brzuchem. Niczym podmuch wiatru przeleciałem po wodzie, a gdy wciągnięto mnie na łódź, spadłem na pokład i wytrząsałem niedoszłą ofiarę z garnka. Buka tymczasem wyła samotnie na brzegu, z głodu i złości (bo nie umiała pływać.)

Fredrikson zapalił lampę naftową, żeby zobaczyć, kogo wyratowałem.

Jestem głęboko przekonany, że ta chwila była jedną z gorszych w mojej burzliwej młodości. Bo przede mną na mokrym pokładzie siedział nie kto inny, tylko - Ciotka Paszczaka! W owych czasach określało się taką sytuację słowem tableau*!

Wyratowałem Ciotkę Paszczaka!

W pierwszym odruchu przerażenia podniosłem ogonek pod kątem czterdziestu pięciu stopni, lecz zaraz przypomniałem sobie, że jestem przecież wolnym Muminkiem, i powiedziałem bez troski:

- Halo! Cześć! Co za niespodzianka! Kto by się spodziewał?!

- Spodziewał czego? - spytała Ciotka Paszczaka, wytrzępując wodę z parasolki.

- Tego, że ja panią uratuję - powiedziałem wzburzony. - To znaczy, że pani będzie wyratowana przeze mnie. A propos, czy dostała pani mój list pożegnalny?

- Nie jestem twoją znajomą - powiedziała Ciotka Paszczaka stanowczo. - I żadnego listu nie dostałam. Pewnie nie nalepiłeś na nim znaczka. Albo napisałeś zły adres. Albo zapomniałeś go wrzucić do skrzynki. O ile w ogóle umiesz pisać... - Poprawiła kapelusz i dodała łaskawie: - Ale pływać to ty umiesz.

- To wy się znacie? - zapytał ostrożnie Jok.

- Nie - odparła Ciotka Paszczaka. - Poznaliśmy się dziś. A któż to porzucił galaretkę po całej podłodze? Daj mi ścierkę, ty z uszami, muszę sprzątnąć.

* Tableau! (franc., czyt.: tablo) - Co za scena!

Fredrikson (bo jego miała na myśli) podskoczył z pizamą Joka i Ciotka Paszczaka zaczęła wycierać nią pokład.

- Jestem zła - wyjaśniła. - A wtedy jedyne, co pomaga, to sprzątanie.

Staliśmy za nią w milczeniu.

- A nie mówiłem wam, że mam Przeczucia - mruknął w końcu Jok.

Wtedy Ciotka Paszczaka zwróciła ku niemu swój brzydki nos i powiedziała: - Cicho bądź. Jesteś poza tym znacznie za mały, żeby palić. Powinieneś pić mleko, ono jest pożyteczne i ci, którzy je piją, nie mają trzęsących się łap, żółtego nosa ani łysego ogona. Wasze szczęście, żeście mnie wyratowali. Teraz będzie tu porządek!

- Pójdę spojrzeć na barometr - powiedział szybko Fredrikson, po czym czmychnął do sterówki i zamknął za sobą drzwi.

Lecz barometr z wielkiego przerażenia spadł o czterdzieści stopni i nie odważył się pójść w górę, aż dopiero po historii z Gryzilepkami. Ale o tym opowiem później.

Chwilowo nie mieliśmy żadnej nadziei, żeby móc uniknąć ciężkiej próby, na którą, jestem przekonany, żaden z nas nie zasługiwał.

.oOo.

- No tak, na razie doszedłem do tego miejsca - powiedział Tatuś Muminka swoim zwyczajnym głosem i spojrzał znad pamiętnika.

- Wiesz co - rzekł Muminek - zaczynam przyzwyczajając się do tego, że stosujesz nagle dziwne zwroty. No i ten garnek, o którym piszesz, musiał być ogromnych rozmiarów... Czy staniemy się bo- gaci, jak skończysz książkę?

- Strasznie bogaci - odparł Tatuś poważnie.

- W takim razie uważam, że powinniśmy się podzielić - zaproponował Ryjek. - Bo przecież mój tatuś, Wiercipiętek, występuje jako bohater w twojej książce.

- A ja cały czas sądziłem, że bohaterem jest Jok - rzekł Włóczykij. - I pomyśleć, że dopiero teraz się dowiaduję, jakiego fajnego miałem tatusia! Co za miła świadomość, że był do mnie podobny.

- Wasi tatusiowie to tylko tło! - wybuchnął Muminek i kopnął Ryjka pod stołem. - Niech się cieszą, że w ogóle jest o nich mowa w książce!

- Kopnąłeś mnie! - krzyknął Ryjek z nastroszonymi wąsami.

- Co się tu dzieje? - spytała Mama Muminka, zaglądając przez drzwi do salonu. - Macie jakieś zmartwienie?

- Tatusz czyta głośno o swoim życiu - wyjaśnił Muminek (podkreślając „swoim”).

- No i co uważacie? - spytała Mama Muminka.

- Pasjonujące! - odparł Muminek.

- Prawda? - zgodziła się Mama. - Żebyś tylko, Tatusiu, nie przeczytał czegoś, co może dać młodemu złe o nas wyobrażenie. W takich miejscach mów lepiej: „i tak dalej, i tak dalej”. Chcesz fajkę?

- Nie pozwól mu palić! - zawołał Ryjek. - Ciotka Paszczaka powiedziała, że od tego trzęsą się łapki, żółknie pyszczek i łysieje ogon!

- Etam - odparła Mama Muminka. - Palił całe życie i nie zrobił się ani roztrzęsony, ani żółty, ani łysy. Wszystko, co przyjemne, jest dobre dla żołądka.

To mówiąc, zapaliła Tatusiowi fajkę i otworzyła okno, przez które powiał lekki wieczorny wietrzyk znad morza.

A potem pogwizdując wyszła do kuchni, żeby zaparzyć kawę.

- Jak mogliście zapomnieć o Wiercipiętku przy wodowaniu? - odezwał się Ryjek z wyrzutem. - Czy potem doprowadził kiedykolwiek swoją kolekcję do porządku?

- Ach, tak, wiele razy - uspokoił go Tatusz Muminka. - Ciągłe wynajdywał nowe sposoby segregowania guzików. Porządkował je według koloru albo wielkości, albo kształtu, albo tworzywa, albo według tego, czy lubił je więcej, czy mniej.

- Nadzwyczajne - zamyślił się Ryjek.

- A mnie trapi to, że mój tatusz miał pełno galaretki w piżamie - odezwał się Włóczykij. - W czym potem spał?

- W mojej - odparł Tatusz Muminka wydmuchując w stronę sufitu duże kłęby dymu.

Ryjek ziewnął.

- Może pójdziemy popatrzeć na nietoperze? - zaproponował.

- Dobrze - zgodził się Włóczykij.

- Hej, Tatusiu! - powiedział Muminek.

Tatusz Muminka został sam na werandzie. Siedział rozmyślając przez chwilę, a potem wziął pióro i dalej pisał o swojej młodości.

.oOo.

Następnego ranka Ciotka Paszczaka była w niszczycielsko dobrym humorze. Obudziła nas o godzinie szóstej, trąbiąc z animuszem:

- Dzień dobry! Dzień dobry!! Dzień dobry!!! A więc zaczynamy! Najpierw małe zawody w cerowaniu skarpet (bo zajrzałam do waszych szuflad!). Potem, w nagrodę, trochę wychowawczych gier.

To takie potrzebne! A co dziś będzie odżywczego na śniadanie?

- Kawa - powiedział Wiercipiętek.

- O w s i a n k a - powiedziała Ciotka. - Kawę pije się dopiero, jak się jest starym i roztrzęsionym.

- Znałem takiego, co umarł od owsianki - mruknął Jok. - Po prostu się nią udławił.

- Ciekawa jestem, co by powiedzieli wasi tatusiowie i wasze mamusie, gdyby was zobaczyli pijących kawę - rzekła Ciotka Paszczaka. - P ł a k a l i b y. Jak to właściwie jest z tym waszym wychowaniem? Czy j e s t e ś c i e w ogóle wychowani? A może urodziliście się już niemożliwi?

- Ja urodziłem się pod całkiem specjalnymi gwiazdami - zaznaczyłem. - Znaleziono mnie w małej muszelce wyłożonej aksamitem!

- A ja nie chcę być wychowany - powiedział Fredrikson dobitnie. - Jestem wynalazcą. Robię, co mi się podoba.

- Wybaczcie - zachnął się Wiercipiętek. - Ale moi rodzice i tak nie mogliby płakać, bo zginęli przy wielkim sprzątanu!

Jok nabijał fajkę groźnymi ruchami.

- Ha - powiedział. - Ja nie uznaję zarządzeń. Przywodzą mi na myśl Dozorcę Parku.

Ciotka Paszczaka długo nam się przypatrywała, a potem powiedziała:

- Odtąd ja będę się wami zajmowała.

- Ciocia wcale nie musi! - wykrzyknęliśmy wszyscy równocześnie.

Lecz ona potrząsnęła głową i wypowiedziała następujące okropne słowa:

- To jest mój paszczakowy Obowiązek!

Po czym odeszła, niewątpliwie po to, by znów obmyślić coś wychowawczego i piekielnego zarazem. My wczłotaliśmy się pod płócienny daszek na dziobie łodzi i siedzieliśmy współczując sobie wzajemnie.

- Przysięgam na mój ogon, że nigdy więcej nie będę nikogo ratował po ciemku! - zawołałem.

- Za późno to mówisz - rzekł Jok. - Po tej Ciotce można się wszystkiego spodziewać.

Któregoś dnia gotowa wyrzucić moją fajkę za burtę i zapędzić mnie do roboty! Ona jest chyba do wszystkiego zdolna!

- Może Buka wróci - szepnął Wiercipiętek z nadzieją w głosie. - Albo ktoś inny, kto będzie na tyle miły, że ją zje.

Wybaczcie! Czy to brzydko tak mówić?

- Owszem - odparł Fredrikson. Lecz po chwili dodał z powagą:

- Ale coś w tym jest.

Zamilkliśmy, pogrążeni w litowaniu się nad sobą.

- Gdyby tak być wielkim! - wybuchnąłem w końcu. - Wielkim i sławnym, Można by wtedy rozprawić się z Ciotką bez większego wysiłku!

- A co się robi, żeby być sławnym? - spytał Wiercipiętek.

- Ach, to nic trudnego - odparłem. - Po prostu robi się coś, czego nikt dotąd nie zrobił, bo mu nie przyszło na myśl... Albo coś starego w nowy sposób...

- Na przykład co? - odezwał się Jok.

- Na przykład latającą łódź - rzekł Fredrikson i jego małe oczka zaczęły błyszczeć zdumiewającym blaskiem.

- Nie myślę, żeby było przyjemnie być sławnym - powiedział Jok. - Może na początku, ale potem to się wydaje całkiem normalne, a w końcu już tylko mdli od tego. Jak od jazdy na karuzeli.

- Co to takiego? - spytałem.

- To maszyna - odparł Fredrikson podnieconym głosem. - Koło zębate działa w niej mniej więcej tak. - I zaraz wyciągnął długopis i papier.

Głębokie zamyślenie Fredriksona do maszyn było zjawiskiem, które nigdy nie przestało mnie zadziwiać. Był nimi urzeczony. Ja natomiast uważam je za coś obrzydliwego.

Wprawdzie koło wodne jest sympatyczne i zrozumiałe, ale już zamek błyskawiczny przypomina świat maszyn i przez to samo wzbudza we mnie podejrzenia. Jok znał kogoś, kto miał zamek błyskawiczny przy spodniach, i któregoś razu zamek zaciął się i już nigdy nie dało się go otworzyć. Koszmarna historia!

Właśnie kiedy zamierałem podzielić się z innymi moimi rozważaniami na temat zamków błyskawicznych, usłyszeliśmy bardzo dziwny odgłos.

Był to przytłumiony, głuchy dźwięk, który zdawał się do- chodzić jakby z odległej rury blaszanej. Nie było żadnej wątpliwości, że brzmiał groźnie.

Fredrikson wyjrzał spod płóciennego daszku i wypowiedział jedno, jedyne, złowieszcze słowo:

- Gryzilepki!

Tu należałoby prawdopodobnie dać kilka słów wyjaśnienia (nawet jeżeli są to sprawy dobrze znane wszystkim obytym w świecie osobom). Podczas gdy odpoczywaliśmy w cieniu markizy, „Symfonia Mórz” wpłynęła powoli w deltę rzeki, zamieszkaną przez

Gryzilepki. Gryzilepek jest to istota towarzyska, nie cierpiąca samotności. Wykopuje kanały pod korytami rzek i zakłada tam żyjące dość szczęśliwie kolonie. Gryzilepek zamiast nóżek ma przyssawki i pozostawia po sobie lepkie ślady, dlatego też nazywany jest przez niektórych całkiem mylnie Lepiłapkciem lub Nóżkolepem.

Przeważnie zachowuje się miło i grzecznie, jednakże nie umie powstrzymać się od gryzienia wszystkiego, co zobaczy, zwłaszcza jeżeli tego czegoś nigdy przedtem nie widział. Poza tym Gryzilepek ma jedną przykrą właściwość: zdarza się, że odgryza komuś nos, jeśli go uzna za zbyt duży. Byliśmy więc niespokojni (z łatwo zrozumiałych powodów), jak się sprawy dalej ułożą.

- Nie wychodź z puszki! - zawołał Fredrikson do swego bratanka.

„Symfonia Mórz” ugrzęzła w całym morzu Gryzilepków. Przypatrywały się nam bacznie swymi niebieskimi, okrągłymi oczkami, równocześnie ruszając groźnie wąsami i tupiąc nogami w wodzie.

- Odsuńcie się, proszę - zwrócił się do nich Fredrikson.

Lecz one obstały łośdź jeszcze bardziej zwartym kręgiem, a niektóre zaczęły piąć się po burtach, czepiając się ich nóżkami- przyssawkami. Kiedy pierwszy wystawił głowę nad reling, Ciotka

Paszczaka wyszła zza sterówki.

- Co to znaczy? - zawołała. - Co to za typy? Nie mogę w żadnym razie pozwolić, żeby nam ktokolwiek przeszkadzał w naszych pouczających grach.

- Nie strasz ich, bo będą złe - uprzedził ją Fredrikson.

- To j a jestem zła! - wykrzyknęła Ciotka Paszczaka. - Precz! Precz! Wynoście się! - I pozwoliła sobie uderzyć najbliższego Gryzilepka parasolką po głowie.

W jednej chwili wszystkie Gryzilepki zwróciły na nią oczy i jasne było, że obserwują jej nos. Po dłuższej chwili przyglądania się zaczęły znów wyć przyciszonym, jakby metalicznym głosem. A potem wszystko rozegrało się bardzo szybko.

Tłum Gryzilepków - były ich chyba tysiące - przedostał się przez reling i zawładnął pokładem. Zobaczyliśmy, jak Ciotka Paszczaka traci równowagę i machając rozpaczliwie parasolką odjeżdża na plecach Gryzilepków, jak na żywym dywanie. Wyrzucona za burtę, krzyknęła przeraźliwie, a potem całe towarzystwo zniknęło bez śladu.

Zrobiło się znów cicho i spokojnie i „Symfonia Mórz” pluskała dalej, jak gdyby nigdy nic.

- No i co? - odezwał się Jok. - Nie będziesz jej ratował?

Moja rycerskość pchała mnie do natychmiastowego pospieszenia Ciotce na odsiecz, lecz złe i naturalne skłonności podpowiadały mi, że to niepotrzebne. Mruknąłem, że już jest za późno. Tak też zresztą było.

- No tak - rzekł Fredrikson niepewnym głosem.

- Już po niej - stwierdził Jok.

- Przykra historia - powiedziałem.

- Przepraszam! Czy to moja wina? - spytał szczerze Wiercipiętek. - Liczyłem na to, że może znajdzie się ktoś, kto ją zje. Czy to bardzo źle, że ani trochę jej nie żałujemy?

Nikt nie odpowiedział.

Pytam was, drodzy czytelnicy, co wy zrobilibyście w tej kłopotliwej sytuacji?

Przecież już raz wyratowałem Ciotkę Paszczaka, a Buka naprawdę jest gorsza od Gryzilepków, które na dobrą sprawę są całkiem miłe... Może to będzie dla niej tylko pewna zmiana? Może ładniej będzie wyglądać z małym nosem? Nie myślicie?

Tak czy inaczej, słońce na razie świeciło, a my wyszorowaliśmy pokład (który był zupełnie lepki od nóżek-przyssawek Gryzilepków) i wypiliśmy ogromne ilości dobrej, czarnej, mocnej kawy.

„Symfonia Mórz” sunęła wśród setek i setek małych wysepek.

- To się chyba nigdy nie skończy - powiedziałem. - Gdzie my właściwie płyniemy?

- Gdzieś... albo też nigdzie specjalnie - odrzekł Jok nabijając sobie fajkę. - A co? Niedobrze nam?

Nie chciałem zaprzeczać, że jest nam dobrze, ale w dalszym ciągu za czymś tęskniłem. Chciałem, żeby się zdarzyło coś nowego.

Cokolwiek, byle się wydarzyło! (Poza oczywiście spotkaniem Paszczaków).

Miałem straszne uczucie, że wszystkie wielkie przygody dzieją się nieustannie gdzieś, gdzie mnie nie ma, i że są to wspaniałe, barwne przygody, które się już nigdy nie powtórzą. Śpieszyło mi się, okropnie mi się śpieszyło! Przycupnięty na samym dziobie łodzi, spoglądałem niespokojnie w przyszłość, rozmyślając przy tym nad zebranymi już doświadczeniami.

Było ich na razie siedem, a wnioski z nich wynikały takie:

1. Rodzice Muminków niech pilnują, żeby ich dzieci rodziły się w odpowiednim astrologicznym czasie, i niech im zapewnią romantyczne przyjście na świat (przykład pozytywny: moje uzdolnienia; przykład negatywny: torba papierowa).

2. Nikt nie chce słyszeć o Paszczakach, kiedy mu się spieszy (przykład pozytywny: Fredrikson; przykład negatywny: jeź).

3. Nigdy nie wiadomo, co może złapać się w sieci (przykład pozytywny: naktuz wyłowiony przez Fredriksona).

4. Nigdy niczego nie przemalowuj tylko dlatego, że zostało trochę farby (przykład negatywny: puszka Wiercipiętka).

5. Nie wszystko niebezpieczne, co duże (przykład pozytywny: Edward olbrzym).
6. Można być bardzo odważnym, mimo że się jest małym (przykład pozytywny: ja).
7. Wystrzegaj się ratowania kogokolwiek w nocy (przykład negatywny: Ciotka Paszczaka).

Podczas gdy rozmyślałem nad tymi ważkimi prawdami, łódź minęła ostatnią małą wysepkę i nagle serce skoczyło mi do gardła i uwięzło w nim. Krzyknąłem z zachwytem:

- Fredrikson! Morze przed nami!

Nareszcie coś się zdarzyło! Wprost przede mną rozpościerało się migotliwe, niebieskie, tajemnicze morze.

- Za duże jak dla mnie - powiedział Wiercipiętek i wpełzł do swojej puszki. - Wybaczcie, ale oczy mnie bołą od tego widoku i nie wiem, co mam myśleć.

Jok natomiast zawołał:

- Jakie ono niebieskie i miękkie! Płynmy prosto przed siebie, huśtajmy się i śpijmy, i nigdzie nie dojeżdżajmy...

- Jak Hatifnatowie - rzekł Fredrikson.

- Jak kto? - zapytałem.

- Jak Hatifnatowie -- powtórzył Fredrikson. - Wciąż gonią i gonią... Taki w nich niepokój.

- Na tym właśnie polega różnica między nami - ucieszył się Jok. - Ja mam w sobie ogromny spokój! I lubię spać. Hatifnatowie nigdy nie śpią. Nie mogą. Nie mogą też mówić i tylko chcą dotrzeć do horyzontu.

- Udało się to któremuś? - spytałem wzdrygając się.

- Tego nikt nie wie - powiedział Jok i wzruszył ramionami.

.oOo.

Zarzuciliśmy kotwicę przed skalistym wybrzeżem. Jeszcze dziś czuję pełną po plecach radosne podniecenie, gdy tylko szepnę do samego siebie: „Zarzuciliśmy kotwicę przed skalistym wybrzeżem”. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem wówczas czerwone skały i przezroczyste meduzy, owe dziwne małe baloniki, które od- dychają i których serce ma kształt kwiatu.

Zeszliśmy na ląd, żeby nazbierać muszli.

Fredrikson twierdził oczywiście, że schodzi na ląd, żeby zbadać zakotwiczenie, ale coś mi mówiło, że i on ukradkiem interesował się muszlami. Natrafiliśmy na niewielkie plaże, ukryte między skałami. Wyobraźcie też sobie radość Wiercipiętka, kiedy odkrył, że każdy mały kamyczek jest całkiem gładki i okrągły jak piłka albo jajko. Przepelniony nieporównywalnym szczęściem zbieracza, zdjął z głowy garnek i zbierał, zbierał, zbierał. Piasek pod jasną, zieloną wodą układał

się w delikatne pasemka, jakby przeciągnęły po nim grabie, skały były ciepłe od słońca. Wiatr ustał, a horyzont, prawie niewidoczny, roztopiał się w przezroczystych oparach.

W tym czasie świat był bardzo duży, a wszystko, co nieduże, było małe w znacznie przyjemniejszy sposób niż dziś, i to mi nieporównanie bardziej odpowiadało. O ile rozumiecie, co chcę przez to powiedzieć. Przychodzi mi w tej chwili nowa myśl do głowy, chyba ważna. Pociąg do morza jest widać właściwością Muminków, bo stwierdzam z zadowoleniem, że przejawia go również mój syn.

Zauważ jednakże, drogi czytelniku, że to raczej w y b r z e- ż e wzbudza nasz zachwyty.

Na otwartym morzu widnokrąg staje się za długi dla normalnego Muminka. My najbardziej lubimy to, co zmienne i kapryśne, nieoczekiwane i dziwne: brzeg morza, który jest trochę lądem i trochę wodą, zachód słońca, który jest trochę ciemnością i trochę światłem, i wiosnę, która jest trochę chłodem i trochę ciepłem.

Teraz znów zrobił się wieczór. Zmierzch zapadał bardzo powoli i ostrożnie, jakby chciał, żeby dzień miał dosyć czasu na położenie się spać. Na całym zachodnim skłonie nieba roilo się od małych chmur, jakby z różowej bitej śmietanki, i wszystko razem przeglądało się w morzu. Było to błyszczące, lustrzane morze, wyglądające całkiem bezpiecznie.

- Czy widziałeś kiedy chmurę z bliska? - zapytał Fredriksona.

- Tak - odparł. - W książce.

- Te przypominają mus malinowy - zauważył Jok.

Siedzieliśmy koło siebie na skale. Pachniało przyjemnie wodorostami i czymś, co może było zapachem morza. Czułem się tak szczęśliwy, że nawet nie bałem się, że to minie.

- Jesteś szczęśliwy? - spytał Fredriksona.

- Całkiem tu dobrze - mruknął zażenowany (wiedziałem więc, że jest strasznie szczęśliwy).

Siedząc tak spostrzeżliśmy całą flotyllę małych łódeczek wypływających na morze. Lekkie jak motyle, prześlizgiwały się koło nas swymi odbiciami w wodzie. Każdą z nich sterowała milcząca załoga, jakieś małe szarobiałe postaci siedzące nieruchomo jedne przy drugich, wpatrzone w morze.

- Hatifnatowie - rzekł Fredrikson. - Żeglują elektrycznie.

- Hatifnatowie - szepnąłem z przejęciem - którzy tylko gonią i gonią, i nigdy nie docierają do celu...

- Naładowują się podczas burzy - powiedział Fredrikson. - Parzą jak pokrzywy.

- I prowadzą łajdackie życie - dodał Jok.

- Łajdackie życie? - zainteresowałem się. - W jakiś sposób?

- Nie wiem dokładnie - odparł Jok. - Może depczą czyjeś ogródki warzywne i piją piwo.

Długo siedzieliśmy, patrząc na Hatifnatów żeglujących w stronę horyzontu. Miałem dziwną ochotę dołączyć się do nich w ich tajemniczej podróży i jak oni prowadzić łajdackie życie. Ale nic na ten temat nie powiedziałem.

- No, to co? Jutro? - spytał nagle Jok. - Wyfliniemy jutro na morze?

Fredrikson spojrzał na „Symfonię Mórz”.

- To łódź rzeczna - powiedział z namysłem. - Poruszana kołem wodnym. Nie ma żagli...

- No to losujmy: orzeł czy reszka - powiedział Jok wstając.

- Wiercipiętku! Chodź no tutaj z jakimś guzikiem!

Wiercipiętek jak strzała wyskoczył z wody i zaczął wypróżniać kieszenie na skałę.

- Wystarczy jeden guzik, kochany bratanku - rzekł Fredrikson.

- Proszę bardzo! - wykrzyknął uradowany Wiercipiętek. - Czy ma być z dwoma, czy z czterema dziurkami? Kościany, pluszowy, drewniany, szklany, metalowy czy z masy perłowej? Jednobarwny, pstry, w kropki, w paski czy w kratkę? Okrągły, wklęsły, wypukły, płaski, ośmioboczny czy też...

- Daj zwykły guzik od spodni - powiedział Jok. - Rzucam.

Prawa strona będzie oznaczała, że wypływamy na morze. No, co jest na wierzchu?

- Dziury - rzekł Wiercipiętek, prawie że przyciskając nos do guzika, żeby go dojrzeć w ciemności.

- Etam - powiedziałem. - Mów, jak spadł!

Wiercipiętek zamachał wąsami i guzik stoczył się w szczelinę w skałę.

- Wybaczcie! Co za los! - zawołał. - Chcecie drugi?

- Nie - odparł Jok. - W orła i reszkę można grać tylko raz.

Niech się teraz sprawa sama wyjaśnia, ja idę spać.

.oOo.

Tę noc na pokładzie mieliśmy wyjątkowo nieprzyjemną. Kiedy usiadłem na koi, koc okazał się całkiem lepki od czegoś przypominającego syrop. Lepka też była klamka u drzwi i szczotka do zębów, kleiły się pantofle nocne, a dziennika okrętowego Fredriksona w ogóle nie dało się otworzyć.

- Bratanku! - powiedział Fredrikson. - Jak ty dziś sprzątałeś?

- Przepraszam - odparł Wiercipiętek z wyrzutem. - Ja wcale nie sprzątałem!

- Pełno tego paskudztwa w tytoniu - mruknął Jok; który lubił palić w łóżku.

Wszystko to było rzeczywiście bardzo przykre. Ale jakoś uspokoiliśmy się powoli i każdy zwinął się w kłębek w możliwie najmniej lepkiem miejscu. Lecz całą noc przeszkadzały nam dziwne odgłosy, dochodzące jakby z naktuza.

.oOo.

Obudziło mnie dzwonienie zegara okrętowego, jakieś inne niż zwykle i dziwnie złowieszcze.

- Wstawajcie! Wstawajcie! Chodźcie zobaczyć! - krzyczał Wiercipiętek przed drzwiami. Wszędzie woda! Ogromna, bez końca! A ja zapomniałem na plaży mojej najpiękniejszej suszki do atramentu! I leży tam teraz moja biedna suszka całkiem sama...

Wyskoczyliśmy na pokład.

„Symfonia Mórz” płynęła po otwartym morzu pluskając łopatkami, spokojna, pewna siebie i - jak mi się wydało - w gruncie rzeczy zachwycona. Do dziś nie mogę pojąć, jak mogły dwa krzywe kółka zębate spowodować posuwanie się łodzi do przodu: można to ewentualnie zrozumieć na strumyku, ale na morzu rzecz staje się raczej niewytłumaczalna. Jednakże każde stwierdzenie jest, że tak powiem, niepewne. Jeżeli Hatifnat może być napędzany własną elektrycznością (którą niektórzy nazywają tęsknotą lub niepokojem), to nie należy się dziwić, że łódź daje sobie radę przy pomocy dwóch kółek zęba tych. No tak, pozostawiam tę sprawę otwartą i przechodzę do Fredriksona, który ze zmarszczonym czołem oglądał zerwaną linę kotwiczną.

- Tym razem jestem zły - powiedział. - Bardzo zły. Gorzej zły niż kiedykolwiek. Lina została przegryziona.

Spojrzeliliśmy na siebie.

- Wiesz przecież, że mam bardzo małe zęby - powiedziałem.

- A ja jestem o wiele za leniwy, żeby przegryźć taką grubą linę - rzekł Jok.

- To nie ja! - zawołał Wiercipiętek.

Jemu zresztą wierzyliśmy na słowo i nie potrzebował zrzucić winy na kogo innego, bo nikt z nas nigdy nie słyszał, by Wiercipiętek kłamał, nawet gdy chodziło o wielkość zbioru guzików (rzecz zadziwiająca, biorąc pod uwagę, że był prawdziwym kolekcjonerem). Prawdopodobnie Wiercipiętkom brakuje fantazji.

W pewnej chwili usłyszeliśmy lekkie kasznięcie. Za nami siedział pod płóciennym daszkiem bardzo mały Gryzilepek i mrugał oczkami.

- Ach, więc to tak? - rzekł Fredrikson. - T o t a k? - powtórzył jeszcze raz z naciskiem.

- Mnie właśnie rosną nowe zęby - wyjaśnił nieśmiało mały Gryzilepek. - Ja po prostu muszę coś gryźć!

- Ale dlaczego akurat linę kotwiczną? - spytał Fredrikson.

- Wyglądała taka stara, że myślałem, że to nic nie szkodzi - tłumaczył się Gryzilepek.

- Dlaczego wobec tego schowałeś się? - zapytałem.

- Nie wiem - odparł szczerze. - Miewam czasem niezrozumiałe pomysły.

- A gdzie się schowałeś? - spytał Jok.

Gryzilepek odpowiedział bardzo uczenie:

- W waszym znakomitym naktuzie sztauera*.

I tak na pewno było, bo naktuz też był lepki.

- Słuchaj, Gryzilepku - odezwałem się chcąc zakończyć tę przedziwną rozmowę. - Co powie twoja mama, jak zauważy, że uciekłeś?

- Pewnie będzie płakać - odparł Gryzilepek.

* Sztauer - tragarz okrętowy

ROZDZIAŁ CZWARTY
W KTÓRYM MOJA PODRÓŻ PRZEZ MORZE OSIĄGA PUNKT KULMINACYJNY W
CZASIE SZTORMU, A POTEM KOŃCZY SIĘ STRASZNĄ NIESPODZIANKĄ.

„Symfonia Mórz” podążała swą samotną drogą przez morze. Dnie kołysały się jeden za drugim, słoneczne, senne, niebieskie. Przed dziobem śmigały to tu, to tam gromadki wodników, a w spienionym kilwaterze* ciągnął się ogon chichoczących syren, które karmiliśmy owsianką. Lubilem czasem, kiedy zapadała noc, zmieniać

Fredriksona przy sterze. Przede mną lśniący w świetle księżyca pokład wznosił się powoli i opadał, obserwowałem milczącą wędrówkę fal, chmury i dostojny łuk widnokregu i ogarniało mnie przyjemne, podniecające uczucie, że jestem równocześnie strasznie ważny i strasznie mały (może jednak bardziej ważny niż mały).

Czasem jarzyła się w ciemności fajka Joka, który przychodził usiąść koło mnie na rufie.

- Przyznaj, że miło jest nic nie robić - rzekł któregoś nocy, wystukując fajkę o reling.

- Ale my robimy - powiedziałem. - Ty palisz, a ja steruję.

- Żeby choć wiedzieć dokąd! - odparł Jok.

- To całkiem inna sprawa - odrzekłem z naciskiem, gdyż już wówczas miałem wyraźną zdolność logicznego rozumowania. - Mówiliśmy o r o b i e n i u różnych rzeczy, a nie o tym, co się robi. Znowu masz te swoje Przeczucia? - dodałem niespokojnie.

- Nieee - ziewnął Jok. - Hupp, haff! Mnie jest zresztą zupełnie obojętne, gdzie dojedziemy. Wszystkie miejsca są dobre.

Dobranoc na razie.

- Hej, hej ! - odpowiedziałem.

Kiedy Fredrikson przyszedł o świcie zastąpić mnie przy sterze, wspomniałem mu mimochodem o zadziwiającym i całkowitym braku zainteresowania otoczeniem, jakie przejawiał Jok.

- Hm - zastanowił się Fredrikson. - A może, wręcz przeciwnie, wszystko go obchodzi? Tak sobie, w miarę. Nas obchodzi wyłącznie jedno: ty chcesz być, ja chcę coś robić, mój bratanek chce mieć. A Jok tylko żyje.

- Etam - powiedziałem. - Życie potrafi przecież każdy.

* Kilwater - ślad wodny za płynącym statkiem.

- Hm - odparł Fredrikson. A potem pogrzyżył się, jak zwykle, w milczeniu, z nosem w brulionie, w którym rysował dziwne konstrukcje maszyn wyglądających jak pajęczyny albo nietoperze.

Niemniej postawa Joka wydaje mi się w jakimś sensie nonszalancka. Mam na myśli to, o czym mówiliśmy: że się tylko żyje.

Przecież żyje się i tak, niezależnie od wszystkiego. Według mnie chodzi o to, żeby to mnóstwo ważnych, bardzo istotnych rzeczy, które każdego z nas stale otaczają, umieć przemyśleć, przeżyć, zdobyć. Tyle jest najrozmaitszych możliwości, że włos mi się jeży na karku, gdy o nich pomyślę. A w samym środku tego wszystkiego siedzę ja - i jestem oczywiście najważniejszy.

Teraz, po latach, martwi mnie, że nie ma już tylu tych możliwości. Zastanawiam się, na czym to może polegać. W każdym razie ja nadal siedzę w środku i już to samo jest pociechą.

Tego dnia przed południem Wiercipiętek zaproponował, żeby zatelegrafować do mamusi Gryzilepka.

- Nie znamy adresu. I nie ma telegrafu - rzekł Fredrikson.

- Ach, prawda! - wykrzyknął Wiercipiętek. - Ach, jaki ja jestem niemądry! Wybacz! - I mówiąc to, wczuł się z powrotem do puszek, ogromnie speszony.

- Co to jest telegraf? - zaciekawiał się Gryzilepek, który mieszkał teraz w puszcze razem z Wiercipiętkiem. - Czy to się nadaje do jedzenia?

- Nie pytaj mnie - odpowiedział Wiercipiętek. - To jest duże i dziwne. Wysyła się takie małe znaki na drugą stronę kuli ziemskiej... i tam stają się słowami!

- Jak się wysyła? - nie ustępował Gryzilepek.

- Przez powietrze - odparł Wiercipiętek, robiąc nieokreślony ruch ręką. - Ani jeden nie ginie po drodze!

- Aha - rzekł Gryzilepek i popadł w zadumę. Siedział potem cały dzień kręcąc głową i wypatrując znaków telegraficznych.

Około trzeciej dostrzegł wielką chmurę. Pędziła bardzo nisko, była kredowobiała i wełnista i wyglądała dziwnie.

- Chmura jak na obrazku w książce - powiedział Fredrikson.

- To ty czytujesz książki? - spytałem zdziwiony.

- Oczywiście - odrzekł. - Jedna nazywała się „Podróż przez Ocean”.

Chmura mknęła szybko, gnana wichrem. Minęła nas i nagle za- trzymała się.

I wtedy zaszło coś całkiem niezwykłego, żeby nie powiedzieć: okropnego - chmura zawróciła i zaczęła podążać za nami!

- Przepraszam, czy to zwyczajna chmura? - wystraszył się Wiercipiętek.

Nikt z nas nie umiał wypowiedzieć się na ten temat. Chmura sunęła teraz nad kilwaterem, coraz szybciej, coraz bliżej, aż wreszcie zwała się przez burtę i potoczyła miękko po pokładzie, zatapiając całkowicie puszkę Wiercipiętka. Potem, odbiwszy się kilka razy to od jednego relingu, to od drugiego, usadowiła się wygodnie, oklapła i - przysięgam na mój ogon - natychmiast zasnęła na naszych oczach!

- Widziałeś kiedyś coś podobnego? - zwróciłem się do Fredriksona.

- Nigdy - odparł stanowczo, z wyraźną dezaprobatą.

Gryzilepek podszedł i ugryzł chmurę, po czym oznajmił, że smakuje jak gumka do ołówka mamusi, u nich w domu.

- Dobrze, że jest miękka - ucieszył się Jok i zaraz wymościł sobie w niej odpowiedni dołek do spania, a chmura bez wahania otuliła go sobą, jakby była przyjemną kołderką puchową. Najwidoczniej czuła do nas sympatię.

Jednakże żegluga została bardzo utrudniona przez to osobliwe zdarzenie.

.oOo.

Tego samego dnia tuż przed zachodem słońca niebo przybrało dziwny wygląd. Zrobiło się żółte, ale nie był to przyjemny żółty kolor, lecz brudny i dość niesamowity. Całkiem nisko nad widnokregiem maszerowały czarne chmury z groźnie zmarszczonymi brwiami.

Siedzieliśmy wszyscy razem pod płóciennym daszkiem. Wiercipiętek z Gryzilepkem wykopali wreszcie puszkę z naszej śpiącej chmury i przetoczyli ją na rufę.

W zamglonym słońcu morze zrobiło się czarnoszare; wiatr śpiewał lękliwie w linach okrętowych, wodniki i syreny zniknęły, jakby je ktoś zdmuchnął. Ogarnął nas niedobry nastrój.

Fredrikson spojrzał na mnie i rzekł:

- Wiesz co, sprawdź barometr.

Przedarłem się przez chmurę i z trudem pchnąłem drzwi do sterówki. I cóż się okazało? Barometr wskazywał 670 stopni! Już niżej nie mógł spaść!

Czując, że pyszczek sztywnieje mi z napięcia, pomyślałem:

„Teraz na pewno blednę... Jestem biały jak prześcieradło albo szary jak popiół. Jakie to interesujące!” Przeczłołem się szybko z powrotem na rufę i zawołałem:

- Czy widzicie, że jestem blady jak prześcieradło?

- Według mnie wyglądasz tak samo jak zawsze - powiedział Jok. - Ile wskazywał?

- Sześćset siedemdziesiąt - odparłem, czując się, jak sami rozumiecie, nieco dotknięty.

Zadziwiało mnie zawsze, że szczytowe, dramatyczne momenty w czyimś życiu bywają często popsute przez jakieś pospolite, wręcz przyziemne uwagi. Nawet jeżeli uwagi te nie są powodowane złą wolą, trudno zaprzeczyć, że cechuje je wielka bezmyślność. W moim mniemaniu powinno się zawsze wyolbrzymiać każdą straszną sytuację. Trochę ze względów czysto widowiskowych, a trochę dlatego, że strach jednak jakoś maleje, gdy przydać grozy temu, co go powoduje. A poza tym przyjemnie jest robić wrażenie na innych.

Takich myśli nie może oczywiście pojąć ktoś w rodzaju Joka, lecz dary rozumu nie są rozdzielane równo i nie mam właściwie prawa wątpić w to, że również taki Jok może mieć swoje racje, jeśli nawet są niezrozumiałe.

Tymczasem Fredrikson stał machając uszami i wężąc pod wiatr. Patrzył na „Symfonię Mórz” z pełną miłości troską. A potem rzekł:

- Ona jest dobrze zbudowana. Da sobie radę. Niech Wierci- piątek i Gryzilepek siedzą w puszce i niech zamkną wieczko. Bo teraz będzie sztorm.

- Przeżyłeś już kiedyś sztorm? - spytałem ostrożnie.

- Oczywiście - odparł Fredrikson. - W książce z obrazkami „Podróż przez Ocean”. Nie może być większych fal niż tam.

No i nadszedł sztorm, zupełnie nagle, tak jak nadchodzą za- zwyczaj wszystkie prawdziwe sztormy. „Symfonia Mórz” w pierwszej chwili zdziwienia straciła równowagę, ale zaraz potem dzielnie opanowała sytuację i mimo szalejącego żywiołu dalej pluskała łopatkami, jak tylko umiała najlepiej. Płócienny daszek został zerwany niczym liść i popłynął hen w morze (był w bardzo dobrym gatunku i mam nadzieję, że go ktoś znalazł i wykorzystał). Puszka Wiercipiętka zaklinowała się pod relingiem i za każdym razem, gdy „Symfonia Mórz” zjeżdżała w dół między rozstępujące się fale, a potem wznosiła się chwiejnie na szczyt następnego bałwana, wszystkie guziki, sprzączki od podwiązek, otwieracze konserw, gwoździe i szklane paciorki dzwoniły w niesamowity sposób. Wiercipiętek krzychał, że mu niedobrze, ale nikt z nas nie mógł nic na to poradzić. Trzymaliśmy się z całych sił, czego się tylko dało, i patrzyliśmy ze strachem na ciemniejące morze.

Słońce schowało się. Znikł też horyzont. Wszystko było odmienione, obce i nieprzyjazne. Bryzgi piany przelatowały koło nas z szumem, za burtą panował jeden wielki, czarny niepojęty chaos. Zrozumiałem nagle z przerażającą jasnością, że nie wiem nic o morzu ani o statkach. Zacząłem krzyczeć do Fredriksona, ale on mnie nie słyszał, byłem całkiem sam, kompletnie opuszczony i nic mi nie pomagała świadomość, że znajduję się w niezaprzeczalnie dramatycznym, szczytowym momencie mego życia.

Nie odczuwałem najmniejszej potrzeby powiększania strachu, wręcz przeciwnie, drogi czytelniku! Może straszne sytuacje warto wyolbrzymiać tylko wtedy; kiedy inni patrzą? Ale ja szybko postanowiłem zrobić raczej coś, co ten strach zmniejszy, i pomyślałem: „Jeżeli zamknę oczy i będę udawał, że nie jestem w ogóle nikim i że nikt nie pamięta, że istnieję, to może wszystko minie... Prawdę mówiąc, ta historia nie ma przecież nic wspólnego ze mną! Znalazłem się w tym wszystkim tylko przez pomyłkę...”

Zamknąłem oczy, zrobiłem się malutki i powtarzałem sobie w kółko:

„Nic się nie dzieje! Jestem całkiem mały. Siedzę na huśtawce w ogrodzie Ciotki Paszczaka i za chwilę pójdę do domu jeść owsiankę...”

- Słyszysz mnie? - ryczał Fredrikson poprzez sztorm. - One są mniejsze!

Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Mniejsze fale! - wrzeszczał. - Znacznie mniejsze niż w książce!

Ale ja nigdy nie widziałem fal w książce z obrazkami Fredriksona, więc dalej zaciskałem powieki i trzymałem się mocno huśtawki w ogrodzie Ciotki Paszczaka. I to pomogło. Po krótkiej chwili rzeczywiście poczułem, że huśtawka buja się wolniej w przód i w tył, sztorm ustał i nic już nie jest groźne. Otworzyłem oczy i zobaczyłem niewiarygodny widok. „Symfonia Mórz”, kołysząc się wysoko w powietrzu, gnała przed siebie unoszona przez ogromny biały balon. Daleko pod nami szalejący wciąż sztorm toczył czarne fale. Ale teraz wydawał się zabawką nie mającą nic wspólnego z nami.

- Fruniemy! Fruniemy! - zawołał Fredrikson. Stał obok mnie przy burcie i patrzył na balon uczepiony na czubku masztu.

- Jak tam wciągnąłeś tę chmurę? - zapytałem.

- Sama się wciągnęła - odparł. - Latająca łódź!... - I Fredrikson zatopił się w myślach.

Noc powoli jaśniała. Niebo poszarzało i zrobiło się bardzo zimno. Po jakimś czasie zapomniałem o moich usiłowaniach schowania się na huśtawce w ogrodzie Ciotki Paszczaka, poczułem się znów pewny siebie i wszystkiego ciekawy. Zatęskniłem za kawą.

Było rzeczywiście okropnie zimno. Potrząsnąłem ostrożnie łapkami, dotknąłem uszu i ogona: szczęśliwie nic nie zostało uszkodzone w czasie sztormu.

Jok też ocalał, siedział teraz za puszką Wiercipiętka i usiłował zapalić fajkę.

Lecz „Symfonia Mórz” była w opłakanym stanie. Maszt złamany, kółka zębate gdzieś przepadły, pozrywane liny okrętowe trzepotały żałośnie, reling był w paru miejscach potrzaskany. Wszędzie na pokładzie leżały ogromne ilości wodorostów, szczątki jakichś wraków, kępki alg i gdzieś tam omdlałe wodniki. Najgorsze ze wszystkiego było to, że zniknęła złota gałka z dachu sterówki.

Nasza chmura powoli zaczęła się kurczyć i w chwilę później łódź opadła na wodę. Kiedy niebo na wschodzie przybrało czerwony kolor, znów płynęliśmy kołysząc się na falach wzburzonego wciąż morza i słyszałem, jak w puszcze Wiercipiętka grzechoczą guziki. A biała chmura z obrazka znów ułożyła się do snu między relingami.

- Droga załogo - rzekł uroczyście Fredrikson. - Przetrwaliśmy sztorm. Wypuście mojego bratanka z puszki.

Otworzyliśmy wieczko i Wiercipiętek wyjrzał wystraszony i zielony na twarzy.

- Niech to guzik kopnie - powiedział zmęczonym głosem. - Co ja takiego zrobiłem, żeby tak źle się czuć? Ach, co za życie, co za zmartwienia, co za kłopoty... Spójrzcie tylko na moją kolekcję! Och, co za los!

Gryzilepek też wyszedł z puszki i zaczął węszyć i prychać. A potem oznajmił:

- Jestem głodny.

- Wybacz - wybuchnął Wiercipiętek - ale na samą m y ś l o gotowaniu!...

- Uspokój się - powiedziałem. - Zaparzę kawę.

Idąc do sterówki rzuciłem morzu śmiałe spojrzenie poprzez potrzaskany reling i pomyślałem: „Teraz w każdym razie wiem już niejedno o tobie! I o łodziach! I o chmurach! Na drugi raz nie będę zamykał oczu i robił się malutki!”

Zabieraliśmy się właśnie do picia kawy, kiedy słońce wyjrzało na świat. Zaświeciło łagodnie na mój zimny brzusek i od razu humor mi się poprawił.

Pamiętam, jak wschodziło w pierwszym dniu mojej wolności po historycznej ucieczce, pamiętam też jego blask owego ranka, kiedy budowałem dom na piasku. Urodziłem się w sierpniu, pod dumnym znakiem Lwa i Słońca, i już wtedy zostało przesądzone, że będę szedł po usianej przygodami drodze, którą mi wyznaczyły moje gwiazdy.

Sztormy? Ach, ich sens polega pewnie na tym, że po nich jest wschód słońca. A sterówka otrzyma nową poślaczoną gałkę. Piłem kawę całkiem zadowolony.

.oOo.

A potem odwróciła się karta: zbliżałem się do nowego rozdziału w moim życiu. Łąd przed nami - wielka, samotna wyspa na środku morza! Dumne zarysy nieznanego wybrzeża!

Stanąłem na głowie i za wołałem:

- Fredrikson! Znowu coś się dzieje!

Wiercipiętka natychmiast przestało mdlić i zabrał się do porządkowania puszki przed zejściem na ląd. Gryzilepek ze zdenerwowania obgryzał swój własny ogon, a Fredrikson polecił mi wypolerować wszystkie metalowe części, które ocalały (Jok nie robił w ogóle nic).

Dryfowaliśmy prosto w stronę nieznanego wybrzeża. Na szczycie wysokiego wzgórza widniało coś, co mogła być latarnią morską.

Wieża ruszała się powoli, jakby wyciągając się to w jedną, to w drugą stronę - bardzo dziwne zjawisko.

Ale tyle było do zrobienia, że nie .przejmowaliśmy się dłużej tą sprawą.

Kiedy „Symfonia Mórz” podpływała już do lądu, zebraliśmy się wszyscy przy burcie, pięknie uczesani, zęby umyte, ogonki wyszczotkowane.

I nagle usłyszeliśmy gdzieś nad naszymi głowami wypowiedziane grzmiącym głosem okropne słowa:

- Niech mnie Buka porwie, jeśli to nie Fredrikson i jego zwariowana kompania! Mam was nareszcie!

Tableau! To był Edward olbrzym, i w dodatku bardzo zły.

.oOo.

Takie to rzeczy działy się w mojej młodości - powiedział Tatuś Muminka zamykając zeszyt.

- Czytaj dalej! - zawołał Ryjek. - Co było potem? Czy olbrzym próbował was zdeptać na śmierć?

- To już będzie na następny raz - odparł Tatuś z tajemniczym wyrazem twarzy. - Ciekawe, co? Jak widzisz, posłużyłem się chwytem, jaki stosują pisarze - kończąc rozdział w chwili największego napięcia.

.oOo.

Tego dnia Tatuś siedział z Muminkiem, Włóczykijem i Rykiem na piaszczystej plaży. Podczas gdy im czytał o straszliwym sztormie, oni błędzili wzrokiem po morzu, które, niespokojne jak zwykle z końcem lata, gniewnie uderzało o brzeg.

Wydawało im się, że widzą „Symfonię Mórz” frunącą niby statek-widmo wśród nawałnicy, z ich tatusiami na pokładzie.

- Jak niedobrze musiało mu być w tej puszcze - mruknął Ryjek.

- Zimno tu - powiedział Tatuś Muminka. - Przejdziemy się kawałek? - Ruszyli w stronę cypla, mając wiatr w plecy.

- Potrafisz udawać głos Gryzilepka? - spytał Włóczykij.

Tatuś Muminka spróbował.

- Neeee - rzekł. - Nie udało mi się. To powinno brzmieć tak, jak ze środka blaszanej rury.

- Wcale nie było źle - pocieszył go Muminek- Tatusiu, ty zdaje się, uciekłeś potem z Hatifnatami, prawda?

- No, w pewnym sensie tak - zmieszał się Tatuś. - Ale to było znacznie, znacznie później. Chyba wcale o tym nie będę pisał.

- A ja uważam, że koniecznie powinieneś! - wykrzyknął Ryjek.

- Czy prowadziłeś wtedy łajdackie życie?

- Cicho bądź - skarcił go Muminek.

- Różnie bywało... - powiedział Tatuś. - Ale spójrzcie, tam coś leży, coś co wypłynęło na ląd. Lećcie i przynieście to!

Pobiegli.

- Co to takiego? - spytał Włóczykij.

Dziwny przedmiot był duży, ciężki i podobny do cebuli. Mu- siał pływać w morzu od bardzo dawna, bo oblepiały go gęsto wodorosty i ślimaczki. Na popękany drewnie widniały gdzieś ślady złozenia. Tatuś Muminka wziął w łapki drewnianą cebulę, żeby ją obejrzeć. A kiedy na nią patrzył, oczy rozszerzały mu się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu przykrył ją łapką i westchnął.

- Dzieci - oznajmił uroczystym i trochę niepewnym głosem. - To, co tu widzicie, to gałka z dachu sterówki „Symfonii Mórz”.

- Ooo! - powiedział Muminek z nabożeństwem.

- A teraz - rzekł Tatuś owładnięty wspomnieniami - teraz zamierzam zacząć duży nowy rozdział i zbadać to znalezisko, ale bez was. Biegnijcie pobawić się w grocie! - I ruszył w stronę cypla, ze złoconą gałką pod jedną pachą i pamiętnikiem pod drugą. - Nie lada Muminkiem byłem za młodu - mruknął zadowolony. - I dziś też jestem niczego sobie - dodał, wesoło tupiąc po piasku.

ROZDZIAŁ PIĄTY
W KTÓRYM PODAJĘ DROBNY PRZYKŁAD MOJEJ INTELIGENCJI, A POTEM
OPISUJĘ RODZINĘ MIMBLI ORAZ UROCZYSTOŚĆ WIELKIEJ NIESPODZIANKI,
PODCZAS KTÓREJ Z ŁAPEK AUTOKRATY OTRZYMAŁEM UROCZY DOWÓD
UZNANIA.

Jestem do dziś głęboko przekonany, że Edward olbrzym zamierzał usiąść na nas. Z całą pewnością byłby potem gorzko płakał i próbował uspokoić swoje sumienie, urządzając nam niezwykle piękny pogrzeb. I bez żadnej wątpliwości bardzo szybko zapomniałby o tej przykrej historii, i znów usiadłby na jakimś innym swoim znajomym, na którego właśnie był zły.

Obojętne zresztą, jak by było, bo w decydującym momencie przyszła mi zbawienna myśl do głowy. Jak zwykle usłyszałem „pstryk” i pomysł był gotów. Odważnie zbliżyłem się do owej ruchomej wieży i zachowując całkowity spokój, powiedziałem:

- Hej, wujaszku! Jak miło znów cię zobaczyć! Czy dalej masz obolałe nogi?

- I ty śmiesz mnie o to pytać! - ryknął Edward olbrzym. - Ty pchło wodna! Tak, mam obolałe nogi! I obolałe siedzenie! A to wszystko wasza wina!

- W takim razie - ciągnąłem dalej z opanowaniem - wujaszek będzie szczególnie zadowolony z naszego prezentu: jest to prawdziwy puchowy śpiwór dla olbrzyma. Zrobiony specjalnie dla olbrzymów, którzy usiedli na czymś twardym! - śpiwór? Z puchu? - zdziwił się Edward olbrzym, patrząc wzrokiem krótkowidza na naszą chmurę. - Jasne, że znów mnie oszukujecie, szkaradne urwipolcie! Ta poduszka jest pewnie wypchana żwirem... - Wyciągnął chmurę na brzeg i obwąchiwał ją podejrzliwie.

- Usiądź, Edwardzie! - zawołał Fredrikson. - Zobaczysz, jak miękko i przyjemnie!

- To samo mówiłeś przedtem - odparł olbrzym. - Miękko i przyjemnie, mówiłeś. I co się okazało? Było to coś straszliwie kłującego, twardego, piekielnie kamienistego, guzowatego, chropowatego... - Po czym Edward olbrzym usiadł na chmurze i rozważając sytuację, pograżył się w milczeniu.

- No i co? - zawołaliśmy pełni oczekiwania.

- Hrrumpf ! - zagrzmiął olbrzym ponuro. - Jest tu, zdaje się, kilka miejsc nie całkiem twardych. Posiedzę chwilę i dopiero potem postanowię, czy zrobić z was marmoladę, czy nie.

Lecz zanim Edward olbrzym powziął postanowienie, byliśmy już daleko od tego fatalnego miejsca, które łatwo mogło się stać ostatnią sceną wszystkich moich marzeń i nadziei.

Na szczęście, w głębi nieznanego ładu dostrzegliśmy same tylko łagodne, trawą porośnięte górki, zupełnie niegroźne. Cała wyspa składała się najwidoczniej z zielonych pagórków, a po tych pagórkach biegły to w górę, to w dół niezliczone kilometry kamiennych murów, będących niewątpliwie podziwu godnym wynikiem mozolnej pracy. Stojące gdzieś pojedyncze domki były przeważnie ze słomy, zbudowane dość niedbale, tak mi się przynajmniej wydało.

- Po co tyle tych murów? - zdziwił się Jok. - Żeby kogoś zamykać w środku? Czy nie dopuszczać z zewnątrz? I dlaczego nikogo nie widać?

Wszędzie panowała całkowita cisza, ani śladu podnieconych tłumów, które powinny były zbiec się spieszenie, aby okazać nam zainteresowanie, a także podziw i współczucie z powodu przeżytego sztormu. Czułem się ogromnie zawiedziony i jestem pewien, że inni też dzielili moje uczucia.

Kiedy przechodziliśmy koło małego domku, który był - o ile to w ogóle możliwe - jeszcze gorzej zbudowany niż pozostałe, doszedł nas, bez żadnej wątpliwości, odgłos gry na grzebieńcu.

Zastukaliśmy cztery razy, ale nikt nie otworzył.

- Halo! - zawołał Fredrikson. - Jest tam kto?

Usłyszeliśmy cieniutki głosik mówiący:

- Nie. Nie ma nikogo.

- Dziwne - rzekłem. - Któż to się więc odezwał?

- Jestem córką Mimbli - odpowiedział głos. - Ale idźcie sobie, i to szybko, bo nie wolno mi nikomu otwierać, dopóki mama nie wróci!

- A gdzie jest mama? - zapytał Fredrikson.

- Na zabawie w ogrodzie - odparł smutno głosik.

- A ty dlaczego tam nie poszłaś? - przejął się Wiercipiętek.

- Jesteś za mała?

Wtedy córka Mimbli płacząc zawołała:

- Gardło mnie boli! Mama myśli, że to dyfteryt!

- Otwórz drzwi - powiedział łagodnie Fredrikson. - Obejrzymy twoje gardło. Nie bój się.

Córka Mimbli otworzyła. Miała wełniany szalik na szyi i bardzo czerwone oczy.

- Zaraz zobaczymy - rzekł Fredrikson. - Otwórz buzię.

Powiedz: A-a-a-a!

- Mama myśli, że to może być tyfus plamisty albo cholera - mruknęła ponuro córeczka. - A-a-a-a!

- Nie ma plam - oznajmił Fredrikson. - Boli cię?

- Straszliwie - jęknęła mała Mimbla. - Pewnie mi gardło zarośnie, zobaczycie, i potem nie będę już mogła ani oddychać, ani jeść, ani nawet mówić!

- Idź w tej chwili do łóżka! - rozkazał przerażony Fredrikson. - Musimy sprowadzić twoją mamę! Natychmiast!

- Ach nie, nie róbcie tego! - wykrzyknęła córka Mimbli. - Prawdę mówiąc to ja was oszukałam. Wcale nie jestem chora. Nie poszłam na zabawę, bo byłam taka niemożliwa, że nawet mama miała mnie dosyć!

- Oszukałaś? Dlaczego? - zdziwił się Fredrikson.

- Żeby było zabawniej! - odparła mała Mimbla i znów zaczęła płakać. - Tak mi się strasznie nudzi!

- Czy nie możemy jej wziąć z sobą na tę zabawę? - zaproponował Jok.

- A jak mama będzie zła? - wtrąciłem.

- Na pewno nie! - wykrzyknęła z zachwytem córka Mimbli. - Mama uwielbia cudzoziemców! A poza tym już zapomniała, że byłam taka nieznośna. Ona wszystko zapomina!

Mała Mimbla odwiązała z szyi wełniany szalik i wybiegła na dwór.

- Spieszcie się! - zawołała. - Król z pewnością już dawno zaczął Niespodzianki!

- Król?! - wykrzyknąłem, czując skurcz żołądka. - Masz na myśli prawdziwego króla?

- Prawdziwego? - powtórzyła córka Mimbli. - Oczywiście, że jest prawdziwy! On jest Autokratą i największym królem na świecie! Dziś są jego urodziny. Kończy sto lat!

- Czy może podobny jest do mnie? - szepnąłem.

- Nieee, wcale - odparła mała Mimbla ze zdziwieniem. - A dlaczegoż miałby być podobny do ciebie?

Mruknąłem coś niewyraźnie i zaczerwieniłem się. Oczywiście, była to przedwczesna myśl. A jednak. Bo pomyśleć tylko, że może... Bo ja c z u ł e m s i ę królewsko. No tak. W każdym razie będę mógł zobaczyć Autokratę, może nawet mówić z nim!

Jest coś szczególnego, jeśli chodzi o królów, coś godnego, wzniosłego, nieosiągalnego. Na ogół nie jestem skłonny do podziwiania kogokolwiek (poza być może Fredriksonem). Lecz króla można podziwiać nie czując się samemu zbyt małym. I to jest przyjemne.

Tymczasem córka Mimbli biegła naprzód, na przelaj przez pagórki i murki.

- Słuchaj - spytał ją Jok. - Dlaczego zbudowaliście te mury?

Zamykacie w nich kogoś czy nie wpuszczacie z zewnątrz?

- Ach, one nie mają żadnego znaczenia - odparła. - Po prostu poddanych króla bawi budowanie murów, bo to okazja do wycieczek i jedzenia na dworze... Mój wujek wybudował

siedemnaście kilometrów muru... Ten dopiero by was zadziwił - mówiła dalej wesoło. - On uczy się wszystkich liter i wszystkich słów od początku do końca i od końca do początku i kręci się koło nich, dopóki się ich nie nauczy na pamięć. Jak są bardzo długie i skomplikowane to zabiera mu to czasem parę godzin!

- Na przykład otorynolaryngologia - podsunął Jok.

- Albo elektroencefalografia - dodałem.

- Ach! - wykrzyknęła córka Mimbli. - Jak są aż t a k długie, to wujek musi koczować koło nich. Na noc zawija się w swoją długą rudą brodę. Pół brody jest kołdrą, a pół materacem. W ciągu dnia mieszkają w niej dwie małe białe myszki i wcale nie muszą płacić komornego, bo takie są milutki!

- Wybaczcie, ale mnie się zdaje, że ona znowu kłamie - zauważył Wiercipiętek.

- Moje rodzeństwo też tak uważa - powiedziała córka Mimbli.

- Mam ich czternaścioro i każde z nich jest tego samego zdania.

Ja jestem najstarsza i najmądrzejsza. No, doszliśmy na miejsce.

Ale powiedzcie mamie, że to wy namówiliście mnie, żeby tu przyjść.

- Jak wygląda twoja mama? - spytał Jok.

- Jest okrągła - odrzekła córka Mimbli. - Wszystko ma okrągłe. Pewno w środku też.

Staliśmy przed wyjątkowo wysokim kamiennym murem z girlanda- mi wkoło bramy. Nad bramą wisiał plakat, na którym było na napisane tak:

Zabawa ogrodowa u Autokraty.

Wstęp wolny!

Witajcie! Witajcie!

Doroczny Festyn Niespodzianek tym razem w Wielkim Stylu z okazji setnej rocznicy Naszych urodzin.

Nie wystraszcicie się, jeżeli coś się stanie!

- Co się stanie? - spytał Gryzilepek.

- Cokolwiek - odparła córka Mimbli. - Właśnie to jest takie podniecające.

Weszliśmy do ogrodu. Był bardzo zapuszczony, wszystko w nim rosło z radosną niedbałością.

- Przepraszam, czy tu są dzikie zwierzęta? - spytał Wiercipiętek.

- Znacznie gorzej - szepnęła córka Mimbli. - Pięćset procent gości gdzieś przepada. Lepiej o tym nie mówić. A teraz idę. Hej, na razie!

Ruszyliśmy ostrożnie za nią. Droga wiodła między gęstymi krzakami tworzącymi jakby długi, zielony tunel pogrążony w tajemniczym półmroku.

- Stop - wrzasnął nagle Fredrikson i uszy mu się nastroszyły.

Drogę przecinała przepaść. A na dnie rozpadliny (ach, trudno mi o tym mówić, takie to okropne) siedział ogromny kosmaty pająk z wybałuszonymi oczami i długimi drżącymi nogami!

- Tsssss!... Zobaczymy, czy jest zły - szepnął Jok i rzucił mały kamyczek. Wtedy pająk zaczął wywijać nogami niczym wiatrak i kręcić oczami w różne strony (oczy miał osadzone na czułkach).

- Sztuczny - stwierdził Fredrikson z zainteresowaniem. - Nogi ze stalowego drutu skręconego w spiralę. Solidna robota.

- Wybacz, ale ja nie uważam, żeby to był dobry żart - powiedział Wiercipiętek. - I tak dość jest bania się wszystkiego, co naprawdę niebezpieczne!

Byłem głęboko wstrząśnięty nie tyle pajakiem Autokraty, co jego zupełnie niekrólewskim zachowaniem.

Przy następnym zakręcie wisiał plakat wołający dużymi, wesołymi literami:

NAJEDLIŚCIE SIĘ WSZYSCY STRACHU!

„Jak może król zajmować się takimi głupstwami? - myślałem wzburzony. - To niegodne, zwłaszcza gdy król ma sto lat! Trzeba przecież dbać o podziw swoich poddanych. Trzeba budzić szacunek!”

Po jakimś czasie droga doprowadziła nas do sztucznego jeziora. Stanęliśmy przypatrując mu się z niedowierzaniem.

Przy brzegach czekały małe kolorowe łódki, ozdobione chorągiewkami w barwach Autokraty. Drzewa pochylały się łagodnie nad wodą.

- To wszystko wygląda podejrzanie - mruknął Jok wsiadając do jasnoczerwonej łódki z niebieskim relingiem.

Dopływaliśmy już do środka jeziora, kiedy król uraczył nas nową niespodzianką. Tuż koło łódki trysnął nagle w górę silny strumień wody i doszczętnie nas zmoczył. Wiercipiętek wrzasnął przerażony, czemu trudno się dziwić. Zanim dobiliśmy do brzegu, żeby się ratować, fontanna spryskała nas jeszcze cztery razy. A na brzegu znów wisiał plakat z napisem:

TERAZ JESTEŚCIE PRZEMOCZENI!

Zrobiło mi się bardzo głupio, po prostu wstydzilem się za króla.

- Dziwny festyn - mruknął Fredrikson.

- A mnie się podoba - rzekł Jok. - Ten Autokrata to musi być miły facet. W ogóle bierze siebie na serio!

Spojrzałem na Joka, ale opanowałem się.

Weszliśmy w gęsty labirynt kanałów, których brzegi łączyły mosty bądź wręcz dziurawe, bądź podstępnie posklejane tekturą.

Miejscami przechodziliśmy, balansując, po zmurszałych pniach albo po wiszących kładkach zrobionych z kawałków starych sznurów i lin. Ale nic szczególnego się nie zdarzyło poza tym, że

Gryzilepek stanął na głowie w bajorku wypełnionym mułem - jedyna pozycja, która zdawała się dodawać mu animuszu.

Nagle Jok zawołał:

- Ha-ha! Tym razem nie oszuka nas!

Mówiąc to podszedł do wielkiego, wypchanego byka i dał mu prztyczka w nos. Wyobraźcie sobie nasze przerażenie, kiedy byk straszliwie ryknął, opuścił rogi (na szczęście watowane) i wyrzucił Joka pięknym łukiem prosto w krzak róży.

I oczywiście natrafiliśmy na kolejny drwiący plakat, który tryumfował:

TEGO NIKT Z WAS SIĘ NIE SPODZIEWAŁ!

Tym razem uznałem, że Autokrata ma jednak pewne poczucie humoru.

Pomału zaczęliśmy przyzwyczajać się do Niespodzianek. Za- puszczając się coraz to dalej w dziki, zarośnięty ogród królewski, przedzieraliśmy się przez liściaste grotty i różne tajemnicze kryjówki, przechodziliśmy pod wodospadami i nad przepaściami, w których strzelały sztuczne ognie.

Lecz Autokrata obmyślił dla swoich poddanych jeszcze coś więcej oprócz pułapek, petard i straszdeł na stalowych sprężynach. Kto pomyszkował pod krzakami, w szczelinach skalnych i pustych pniach, ten znajdował gniazda z kolorowymi lub połączanymi jajkami. Na każdym jajku była wymalowana śliczna cyfra. Ja znalazłem jajka z numerami 67, 14, 890, 223 i 27. To była Królewska Loteria Autokraty.

Zasadniczo nie lubię loterii, bo jestem strasznie rozczarowany, jeżeli nic nie wygram, ale szukanie jajek bawiło mnie. Gryzilepek znalazł ich najwięcej, mieliśmy jednak wiele trudności, żeby go przekonać, że nie należy ich jeść, dopóki nie nastąpi rozdanie wygranych. Drugi w kolejności, zaraz za Gryzilepkim, był Fredrikson, potem ja, a na końcu Jok, zbyt leniwy, żeby dobrze szukać, no i Wiercipiętek, który nie miał żadnej metody w szukaniu i tylko skakał bez sensu w kółko.

W końcu zobaczyliśmy długą, kolorową wstęgę, przywiązaną na kokardki między drzewami. Duży plakat objaśnił nas, że:

TERAZ BĘDZIE NAPRAWDĘ ZABAWNIE!

Słychać było wesołe nawoływania, strzały i muzykę: to zabawa rozwijała się w najlepsze w środku ogrodu.

- Ja chyba tu zostanę i poczekam na was - odezwał się Gryzilepek nerwowo. - Tyle tam hałasu!

- Dobrze - rzekł Fredrikson. - Tylko się nie zgub.

Stanęliśmy na skraju rozległej, zielonej łąki, rojącej się od poddanych Autokraty, którzy krzyząc i śpiewając, jeździli kolejką serpentynową, strzelali z kapiszonów i jedli watę cukrową. W środku łąki kręcił się i grał, trzepocząc chorągiewkami, wielki, okrągły dom z mnóstwem białych koni w srebrnej uprzęży.

- Co to jest? - wykrzyknąłem zachwycony.

- Karuzela - odparł Fredrikson. - Narysowałem ci przecież schemat takiej maszyny. W przekroju, nie pamiętasz?

- Ale to nie wyglądało tak - zaprotestowałem. - Tu są konie i srebro, i proporczyki, i muzyka!

- I koło zębate - dodał Fredrikson.

- Czy państwo pozwolą soku? - spytał jakiś duży Paszczak w zdecydowanie nietwarzowym fartuchu (zawsze byłem zdania, że Paszczaki nie mają gustu). Nalał każdemu z nas po szklaneczce i powiedział poważnie:

- A teraz idźcie pogratulować Autokracie. Obchodzi dziś setne urodziny!

Z mieszanymi uczuciami wziąłem szklanekę i spojrzałem w górę, na tron Autokraty. Siedział tam w majestacie swych niezliczonych zmarszczek i ani trochę nie był do mnie podobny. Czy Poczuję zawód - czy ulgę? Spojrzeć w górę na tron - to moment ważny i uroczysty. Każdy troll musi mieć coś, ku czemu mógłby podnosić wzrok (i oczywiście coś, na co by mógł patrzeć z góry), coś, co wzbudza szacunek i szlachetne uczucia. Niestety! Król, którego zobaczyłem, miał koronę włożoną na bakier i kwiaty za uchem, klepał się po kolanach i tupał w takt muzyki tak, że aż cały tron się trząsał! A koło tronu stała syrena przeciwmgielna, którą puszczał co jakiś czas, kiedy chciał trącić się kieliszkiem z którymś z poddanych. Nie muszę chyba dodawać, że poczułem się całkiem zbity z tropu.

Gdy syrena nareszcie ucichła, Fredrikson powiedział:

- Pozwolę sobie pogratulować. Z okazji pierwszego stulecia.

Potem ja zaprezentowałem broń ogonkiem i powiedziałem nienaturalnym głosem:

- Wasza Autokratyczna Mość! Zechciej przyjąć od uchodźcy z dalekich brzegów najgorętsze życzenia szczęścia. Chwila ta skłania do rozmyślań!

Król, zdziwiony, wytrzeszczył na mnie oczy i zaczął chichotać.

- Na zdrowie! - rzekł. - Zmokliście, co? A co zrobił byk?

Nie mówcie mi tylko, że nikt z was nie wpadł do beczki z melasą!

Ach, jak zabawnie być królem!

A potem znudził się nami i znów włączył syrenę.

- Hej, wierny ludzie! - krzyknął. - Zatrzymajcie, któryś z was, tę całą karuzelę. Chodźcie tu wszyscy! Teraz będzie rozdanie wygranych!

Karuzela i huśtawki stanęły i wszyscy przybiegli ze swymi jajkami.

- 701! - wrzasnął król. - Kto ma 701?

- Ja - powiedział Fredrikson.

- Proszę! Niech ci będzie na zdrowie - rzekł Autokrata po- dając mu niezwykle ozdobną laubzegę, taką właśnie, jaką Fredrikson od dawna chciał mieć.

Potem przysłała kolej na następne numery, poddani tłoczyli się do tronu w długiej kolejce, śmiejąc się i rozmawiając. Każde najmniejsze stworzonko, każda drobinka coś wygrała - tylko ja nic.

Jok i Wiercipiętek rozłożyli przed sobą swoje wygrane i już dobierali się do nich, bo były to przeważnie czekoladki, marcepanowe Paszczaki i róże z waty cukrowej. Fredrikson trzymał na kolanach cały stos praktycznych i nieciekawych rzeczy, przeważnie narzędzi.

W końcu Autokrata wstał z tronu i zawołał:

- Kochany ludu! Umiłowane głuptasy! Nierozsądni, hałaśliwi bałaganarze! Dostaliście to, co właśnie dla was najlepiej się nadaje, a na więcej i tak nie zasługujecie. Kierowani Naszą stuletnią mądrością schowaliśmy jajka w trzech rodzajach kryjówek. Po pierwsze: w takich miejscach, gdzie potkną się o nie ci, co tylko biegają bez ładu i składu albo są zbyt leniwi, żeby dobrze szukać - te wygrane nadają się do jedzenia. Po drugie: tam, gdzie można je znaleźć szukając spokojnie, planowo i z rozwagą - to są wygrane użytkowe. A po trzecie: w kryjówekach, których trzeba szukać z fantazją, i te wygrane w ogóle do niczego nie służą. Słuchajcie dobrze, moi niepoprawni, niemądrzy, drodzy poddani! Kto z was szukał w najbardziej fantastycznych kryjówekach? Pod kamieniami, w potokach, na czubkach drzew, w pąkach kwiatów, w swoich kieszeniach czy w mrowiskach? Kto ma jajka 67, 14, 890, 999, 223 i 27?

- Ja! - wrzasnąłem tak głośno, że aż mnie podrzuciło, i bardzo się tym speszyłem.

Zaraz potem ktoś inny zawołał mniej donośnie:

- 999!

- Podejdz bliżej, biedaku - rzekł Autokrata. - Masz oto całkiem nieprzydatne nagrody, w sam raz dla takiego fantasty jak ty. Ładne, co?

- Prześlizczne, Wasza Wysokość - odetchnąłem, patrząc urzeczony na moje wygrane.

Najbardziej podobała mi się ta z numerem 27. Była to ozdoba salonowa przedstawiająca postumencik z koralu, na którym stał mały tramwaj z morskiej pianki. Na przedniej platformie

doczepnego wozu było miejsce na agrafki. Numer 67 okazał się wysadzaną granatami trzepaczką do szampana*. Dalej wygrałem ząb rekina, zakonserwowane kółko z dymu i ozdobną korbkę od pozytywki.

Czy pojmujecie moje szczęście? I czy rozumiecie, drodzy czytelnicy, że prawie przebaczyłem Autokracie jego niezbyt królewskie zachowanie i że nagle wydał mi się całkiem dobrym królem.

- No, a ja? - zawołała córka Mimbli (bo to ona, oczywiście, miała jajko z numerem 999).

- Mała Mimblo - rzekł poważnie Autokrata. - Możesz pocałować

Nas w nos.

Córka Mimbli wdrapała się królowi na kolana i pocałowała go w jego stary autokratyczny nos, a lud tymczasem wiwatował i zjadał swoje wygrane.

To był naprawdę festyn na wielką skalę. O zmroku zapalono w całym Ogrodzie Niespodzianek kolorowe lampiony, zaczęły się tańce i wesołe bijatyki. Autokrata rozdał wszystkim baloniki i polecił otworzyć olbrzymie beczki z winem jabłecznym. Wszędzie płonęły wielkie ogniska, na których poddani gotowali zupę i piekli kiełbaski.

Kręcąc się wśród tłumu dostrzegłem nagle dużą Mimblę, całą złożoną z samych okrągłości. Podeszedłem do niej i kłaniając się powiedziałem:

- Przepraszam, czy to może Mimbla?

- We własnej osobie! - odparła śmiejąc się. - Uff! Ale się najadłam! Szkoda, że tobie takie dziwne przypadły wygrane!

- Dziwne?! - zawołałem. - Czyż można dostać coś lepszego niż niepotrzebne nagrody dla fantasty! Czy może być większy zaszczyt?

- I dodałem grzecznie: - Pani córka, oczywiście, otrzymała główną wygraną.

- Ona przynosi chlubę rodzinie - zgodziła się z dumą Mimbla.

- A więc pani nie gniewa się już na nią? - spytałem.

- Czy się gniewam? - zdziwiła się Mimbla. - Za co? Nie mam czasu się gniewać.

Osiemnaście czy dziewiętnaście dzieciaków do umycia, położenia spać, ubrania i rozebrania, do nakarmienia, wysmarkania, pocieszania i Buka wie co. Nie, młody przyjacielu, mnie jest zawsze wesoło!

- I ma pani tak wyjątkowego brata - wiedziałem dla podtrzymania rozmowy.

- Brata? - zdziwiła się Mimbla.

* Trzepaczka do szampana - w języku szwedzkim określenie rzeczy najbardziej niepotrzebnej wśród niepotrzebnych.

- Tak, wujek pani córki ze strony matki - wyjaśniłem. - Ten, który śpi w swojej rudej brodzie (na szczęście nie powiedziałem nic o tych szczurach, które w niej mieszkały).

Na to Mimbla wybuchnęła śmiechem:

- Ach, ta moja córka! Oszukała cię! O ile wiem, to ona nie ma żadnego wujka ze strony matki. Hej, na razie! Przejadę się teraz na karuzeli. - Co mówiąc zgarnęła tyle swoich dzieci, ile tylko ich mogła pomieścić w szerokich objęciach, i wsiadła do jednego z czerwonych pojazdów, zaprzężonego w jabłkowitego konia.

- Niezwykła ta Mimbla - rzekł Jok ze szczerym podziwem.

A na grzbiecie konia siedział Wiercipiętek z dziwną miną.

- No i co? - zapytałem. - Dobrze się bawisz?

- Owszem, dziękuję - jęknął. - świetnie się bawię. Tylko że od tego kręcenia się w kółko jest mi niedobrze... Szkoda!

- Ile okrążeń zrobiłeś? - spytałem.

- Nie wiem - odparł Wiercipiętek znękany głosem. - Mnóstwo!

Mnóstwo! Wybacz, ale ja nie mogę przestać! Może już nigdy w życiu nie będę miał takiej okazji... Ojej! Znowu rusza!

- Czas do domu - powiedział Fredrikson. - Gdzie król?

Lecz Autokrata zajęty był jeżdżeniem kolejką serpentynową, wobec czego postanowiliśmy wymknąć się możliwie najdyskretniej.

Tylko Jok został. Oznajmił nam, że oboje z Mimblą zamierzają bawić się na huśtawce aż do wschodu słońca.

Na skraju łąki natrafiliśmy na naszego Gryzilepka. Spał za- kopany w mchu.

- Hej ! - powiedziałem. - Dlaczego nie pokazałeś swoich wygranych?

- Wygranych? - powtórzył Gryzilepek - mrugając oczami.

- Twoich jajek - rzekł Fredrikson. Miałeś ich tuzin.

- Zjadłem je - odparł nieśmiało. - Nudziłem się czekając na was.

Poważnie mnie zastanawia, co Gryzilepek byłby wygrał, gdyby pokazał znalezione przez siebie jajka.

I kto dostał jego wygrane? A może Autokrata zaoszczędził je na swój następny jubileusz za sto lat?

.oOo.

Tatuś Muminka odwrócił stronę i powiedział:

- Rozdział szósty.

- Zaczekaj chwilkę - przerwał Włóczykij. - Czy mojemu tatusiowi podobała się ta Mimbla?

- Jeszcze jak! - odparł Tatuś. - Pamiętam, jak wciąż z nią biegał i oboje śmieli się ze wszystkiego, czy trzeba, czy nie.

- Czy on ją lubił bardziej niż mnie? - spytał Włóczykij.

- Przecież ciebie jeszcze wtedy nie było - odrzekł Tatuś.

Włóczykij prychnął, nacisnął kapelusz na uszy i wbił tępy wzrok w okno.

Tatuś Muminka przypatrzył mu się, a potem wstał, podreptał do szafki w rogu pokoju i zaczął w niej grzebać na najwyższej półce. Wrócił niosąc długi, błyszczący ząb rekina.

- To dla ciebie - powiedział. - Twojemu tatusiowi bardzo się niegdyś podobał.

Włóczykij spojrzał.

- Ładny - uznał. - Będzie wisiał nad moim łóżkiem. Czy on się wtedy uderzył, kiedy byk rzucił go w ten krzak różany?

- Ach, nie - odparł Tatuś. - Jok umiał spadać miękko jak kot, a róg byka był przecież watowany.

- No, a co się stało z resztą wygranych? - zaciekał się

Ryjek. - Tramwaj stoi pod lustrem w salonie, ale te inne?

- Szampana nigdyśmy nie pili - powiedział Tatuś z zadumą w głosie. - Więc trzepaczka z pewnością nadal leży na dnie szuflady w kuchni. Co do kółka z dymu, to rozwiało się z biegiem lat...

- A ozdobna korbka od pozytywki? - nie ustępował Ryjek.

- No tak - odparł Tatuś Muminka. - Gdybym ja wiedział, kiedy ty masz urodziny! Ale twój tatuś zawsze gdzieś gubił kalendarz.

- A moje imieniny? - jęknął Ryjek błagalnym głosem.

- Dobrze już, dobrze. Dostaniesz na swoje imieniny tajemniczy prezent - obiecał mu Tatuś.

- Uciszcie się teraz, będę czytał dalej.

ROZDZIAŁ SZÓSTY
W KTÓRYM ZAKŁADAM KOLONIĘ I PRZEŻYWAM KRYZYS, A TAKŻE
WYWOŁUJĘ DUCHA NA WYSPIE OKROPNOŚCI.

Długo nie zapomnę owego ranka, kiedy Fredrikson dostał pilny telegram. Ranek zaczął się spokojnie i miło. Siedzieliśmy pijąc kawę w sterówce „Symfonii Mórz”.

- Ja też chcę kawy - upomniał się Gryzilepek wydmuchując bańki w szklance z mlekiem.

- Jesteś za mały - rzekł opiekuńczo Fredrikson. - Zresztą odesłemy cię do domu, do twojej mamy. Za pół godziny, statkiem pocztowym.

- Co ty mówisz? - odparł obojętnie Gryzilepek i dalej robił bańki w mleku.

- Ale ja zostanę z wami! - zawołała córka Mimbli. - Dopóki nie będę całkiem dorosła. Słuchaj, Fredrikson, czy nie mógłbyś wynaleźć czegoś, od czego Mimble robiłyby się niesamowicie duże?

- Zupełnie wystarczy j e d n a m a ł a Mimbla - wtrąciłem.

- Mama też tak uważa - zgodziła się. - Czy wiecie, że przyszedłam na świat w muszli i nie byłam większa od pchły wodnej, kiedy mama znalazła mnie w swoim akwarium.

- Znowu kłamiesz - powiedziałem. - Wiem doskonale, że przy- chodzi się na świat w środku swojej mamy, tak jak pestka w jabłku. A poza tym lepiej nie mieć Mimbli na pokładzie, bo przynoszą nieszczęście.

- Zawracanie głowy! - rzekła córka Mimbli beztrósko i łyknęła kawy.

Przywiązaliśmy Gryzilepkowi do ogona kartkę z adresem i ucałowaliśmy go w pyszczek. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, że żadnemu z nas nie odgryzł kawałka nosa.

- Pozdrów mamę - powiedział Fredrikson. - I nie pogryź statku pocztowego.

- Na pewno nie - obiecał radośnie Gryzilepek, po czym ruszył w drogę razem z córką Mimbli, która obiecała dopilnować, żeby bez przygód dostał się na pokład.

Fredrikson rozłożył mapę świata na stole w sterówce.

Nagle usłyszeliśmy stukanie do drzwi i grzmiący głos za- wołał:

- Telegram! Pilny telegram do Fredriksona!

Przed drzwiami stał duży Paszczak z Królewskiej Straży Autokratycznej. Nie tracąc opanowania Fredrikson włożył czapkę kapitańską i z poważną miną przeczytał telegram. Było tam napisane tak: doszlo do naszej wiadomosci ze fredrikson jest wynalazca z bozej laski stop prosimy zeby oddal swe talenty w sluzbe autokraty wykrzyknik sprawa bardzo pilna stop

- Wybaczcie, ale ten król nie ma pojęcia o ortografii - rzekł Wiercipiętek, który nauczył się czytać na swojej puszcze od kawy (Maxwell House Coffee high grade one pound i tak dalej, oczywiście, dopóki puszka była niebieska).

- W pilnym telegramie nigdy nie pisze się ę, ą, ś, ć, ż i tak dalej - wyjaśnił Fredrikson. - Nie ma czasu na stawianie tyłu znaczków. Ale telegram jest bardzo obiecujący.

Wyciągnął zza naktuza szczotkę do włosów i zaczął tak energicznie czesać sobie uszy, że kłaczki owłosienia fruwały po całej sterówce.

- Czy mogę dopisać w twoim pięknym telegramie haczyki, kreski i kropki do e, a, s, c, z? - spytał Wiercipiętek.

Lecz Fredrikson nie odpowiedział. Mruknął coś i zabrał się do szczotkowania spodni.

- Słuchaj - odezwałem się ostrożnie. - Jeżeli zaczniesz robić wynalazki dla Autokraty, to nie będziemy mogli podróżować, co?

Fredrikson wydał nieokreślony dźwięk.

- A wynalazki zabierają dużo czasu, prawda? - mówiłem dalej.

Ponieważ Fredrikson wciąż milczał, wykrzyknąłem w głębokiej rozterce:

- Jak można być podróżnikiem mieszkając stale w jednym, i tym samym miejscu! Chcesz być podróżnikiem czy nie?

Lecz Fredrikson odpowiedział:

- Nie. Chcę być wynalazcą. Chcę wynaleźć latającą łódź.

- Co wobec tego będzie ze mną? - zaniepokoiłem się.

- Możesz przecież założyć kolonię razem z tamtymi - poradził mi Fredrikson uprzejmie i zaraz się gdzieś ulotnił.

.oOo.

Tego samego popołudnia Fredrikson przeniósł się do Ogrodu Niespodzianek i zabrał z sobą „Symfonię Mórz”. Na plaży została tylko sterówka. Królewska Straż Autokratyczna przeciągnęła łódź na plac zabaw i wszystko otoczone zostało najgłębszą tajemnicą oraz ośmioma nowymi kamiennymi murami, zbudowanymi z zapałem przez poddanych króla.

Przywieziono na to miejsce kilka tacek narzędzi, a także tony zębatych kół i kilometry stalowych sprężyn. Fredrikson obiecał Autokracie, że przeznaczy wszystkie wtorki i czwartki na wynajdywanie różnych zabawnych rzeczy do straszenia poddanych. W pozostałe dni mógł zajmować się do woli konstruowaniem latającej łodzi. Ale ja o tym wszystkim dowiedziałem się dopiero później.

Początkowo czułem się strasznie opuszczony. Znowu wątpiłem w Autokratę i nawet straciłem podziw dla królów. No i nie miałem pojęcia, co oznacza dziwne słowo „kolonia”. W końcu udałem się do domu Mimbli, w nadziei, że tam znajdę pociechę.

- Halo! - przywitała mnie córka Mimbli, zajęta właśnie myciem młodszego rodzeństwa pod pompą. - Wyglądasz, jakbyś zjadł cytrynę!

- Nie jestem już podróżnikiem, mam założyć kolonię - odparłem ponuro.

- Ach, tak. A co to takiego? - spytała.

- Nie wiem - mruknąłem. - Pewnie coś niestychanie głupiego.

Chyba najlepiej będzie przyłączyć się do Hatifnatów i odejść, i być samotnym jak wichur na pustyni albo orzeł morski.

- W takim razie ja idę z tobą - oświadczyła córka Mimbli i przestała pompować wodę.

- Ale jest pewna różnica między Fredriksonem a tobą - powiedziałem tonem, który nie dał jednak zamierzonego skutku.

- Z pewnością! - zawołała wesoło. - Mamusiu! Gdzie jesteś?

Gdzież ona się znów podziała?

- Hej! - odezwała się Mimbla wychylając głowę spod dużego liścia. - Ile ich już umyłaś?

- Połowę - odrzekła mała Mimbla. - Reszta niech tak zostanie, bo ten oto troll prosi mnie, żebym mu towarzyszyła w wędrówce dookoła świata - oboje samotni jak wiatr pustynny albo zięby!

- Nie, nie, nie! - zaprotestowałem ze zrozumiałym niepokojem. - Ja wcale nie to miałem na myśli!

- No więc dobrze: jak orły morskie - zgodziła się córka Mimbli.

Lecz jej mama wykrzyknęła zdziwiona:

- Co ty mówisz? Nie będzie cię na obiedzie?

- Ach, mamo! - zachnęła się córka. - Jak mnie zobaczysz następnym razem, to będę największą Mimblą na świecie! Wyruszamy zaraz?

- Może jednak, rozważywszy dokładniej sprawę, byłoby lepiej założyć kolonię - odparłem słabym głosem.

- Dobrze - zgodziła się żwawo. Jesteśmy więc kolonistami!

Patrz, mamo, jestem prawdziwą kolonistką i właśnie wyprowadzam się z domu!

Drodzy czytelnicy, proszę was, bądźcie w waszym własnym interesie bardzo ostrożni z Mimblami. One się wszystkim interesują i w żaden sposób nie mogą zrozumieć, że ktoś może nie interesować się nimi.

Tak więc, wbrew własnej woli, założyłem kolonię razem z córką Mimbli, Wiercipiętkiem i Jokiem.

Zebrałiśmy się w opuszczonej sterówce Fredriksona.

- No tak - rzekła córka Mimbli. - Pytałam mamę, co to jest kolonia, i powiedziała mi, że jej zdaniem, to tacy, co mieszkają jak najbliżej jedni drugich, dlatego że okropnie nie lubią być sami. A potem zaczynają się wszyscy strasznie kłócić, bo to jest mimo wszystko zabawniejsze, niż nie mieć w ogóle okazji do kłótni. Mama przestrzegła mnie.

Po tych jej słowach zaległa pełna dezaprobaty cisza.

- Czy wobec tego musimy już zacząć się kłócić? - spytał bojaźliwie Wiercipiętek. - Ja tego bardzo nie lubię! Przepraszam, ale kłótnie są takie smutne!

- To wszystko jest zupełnie inaczej! - zawołał Jok. - Kolonia to takie miejsce, gdzie żyje się cicho i spokojnie, możliwie jak najdalej od siebie. Czasem zdarza się coś nadzwyczajnego, a potem znów jest cisza i spokój... Można, na przykład, żyć na jabłoni. Piosenki, słońce, wysypianie się rano - sami rozumiecie.

Nikt się nie kręci niepotrzebnie i nie twierdzi, że są ważne rzeczy, które trzeba zrobić i których nie można odłożyć...

Zostawia się je, niech się zrobią same.

- A one potrafią? - spytał Wiercipiętek.

- Oczywiście - odrzekł Jok marzycielskim głosem. - Nie przeszkadza się im, po prostu. Pomarańcze rosną i kwiaty rozkwitają, i co jakiś czas rodzi się nowy Jok, żeby je zjadać i wachać. A wszystko skąpane jest w słońcu.

- Nie! To nie jest żadna kolonia! - zaprotestowałem. - Moim zdaniem kolonia to towarzystwo samowolnych wagabundów. Takich, co robią różne niesłychane, czasem nawet dość okropne rzeczy, na które nikt inny by się nie odważył.

- Na przykład co? - zaciekała się córka Mimbli.

- Zobaczysz - odparłem tajemniczo. - W przyszły piątek koło północy! Ale was zadziwię!

Wiercipiętek zaczął wiwatować, a córka Mimbli klaskała w łapki.

A tymczasem rzeczą straszną, lecz prawdziwą było to, że nie miałem pojęcia, co by im wymyślić na przyszły piątek o północy.

.oOo.

Uzgodniliśmy od razu, że w naszej kolonii będzie panowała całkowita niezależność.

Jok przeniósł się na jabłoń w pobliżu domu Mimbli. Córka Mimbli oświadczyła, że będzie sypiać co noc gdzie indziej, żeby czuć się w pełni niezależną. Wiercipiętek postanowił nadal mieszkać w puszcze. Ja, nie bez pewnego smutku, przejąłem sterówkę. Ustawiliśmy ją na samotnej skale przybrzeżnej, gdzie wyglądała zupełnie jak wyrzucony na ląd szczątek wraku. Dobrze sobie przypominam, jak stałem patrząc na starą skrzynkę z narzędziami Fredriksona, którą Paszczaki ze Straży Autokratycznej pogardziły, ponieważ nie była wystarczająco elegancka dla nadwornego wynalazcy.

Pomyślałem sobie wtedy: „Teraz właśnie powinienem wymyślić coś, co byłoby równie nadzwyczajne jak jego wynalazki. Bo jak inaczej zaimponuję mojej kolonii? Niedługo będzie piątek i oni czekają, a ja o wiele za dużo mówiłem o moich wybitnych uzdolnieniach...”

Przez chwilę poczułem się naprawdę bardzo źle. Patrzyłem na przytływające fale i widziałem oczyma duszy, jak Fredrikson wciąż tylko buduje i buduje, i robi coraz to nowe wynalazki, i całkiem już o mnie zapomniał.

Zdawało mi się, że prawie bym wołał urodzić się jak Hatifnat, pod błędnymi, niespokojnymi gwiazdami Hatifnatów, i żeby nikt nie spodziewał się po mnie niczego innego, jak tylko, że będę mknął gdzieś w pogoni za nieosiągalnym horyzontem, w milczeniu, całkowicie obojętny na wszystko.

Ten smutny stan trwał aż do zmierzchu. Zateśniłem wtedy za towarzystwem i poczłapałem w głąb lądu, przez pagórki, na których poddani Autokraty dalej budowali bezsensowne mury, zjadając w przerwach zapasy z wycieczkowych koszyczków. Wszędzie paliły się rozniecone przez nich małe ogniska, a oni co jakiś czas wystrzeliliwali domowej roboty sztuczne ognie i wiwatowali, jak zwykle, na cześć swojego króla. Przechodząc koło puszek Wiercipiętka usłyszałem, jak prowadzi sam z sobą nie kończący się monolog. O ile mogłem zrozumieć, chodziło o kształt pewnego guzika, który był okrągły; ale widziany z innej strony, mógł być również owalny. Jok spał na jabłoni, a córka Mimbli na pewno była poza domem i gdzieś biegała, żeby pokazać swojej mamie, że jest niezależna.

Z głębokim uczuciem niepotrzebności wszystkiego udałem się do Ogrodu Niespodzianek, w którym panowała zupełna cisza. Wodospady zamknięto, lampy wygaszono, karuzela spała pod dużą, szarą plandeką. Tron Autokraty też był przykryty pokrowcem, obok niego stała syrena przeciwmgielna. Na ziemi leżało pełno papierków po cukierkach.

Nagle doszedł mnie odgłos uderzenia młotkiem.

- Fredrikson! - krzyknąłem. Ale on dalej coś przybijał.

Wobec tego uruchomiłem syrenę.

Po chwili z mroku wyłoniły się uszy Fredriksona i usłyszałem jego głos:

- Nie zaglądam, dopóki nie będzie gotowe. Przychodzisz za wcześnie.

- Nie miałem wcale zamiaru patrzeć na twój wynalazek - odparłem smutnym głosem. -

Chciałbym porozmawiać!

- O czym? - zapytał.

Po chwili milczenia odpowiedziałem:

- Fredriksonie kochany, co właściwie m a r o b i ć samowolny wagabunda?

- Co mu się podoba - odparł. - Chcesz jeszcze czegoś? Trochę mi się spieszy.

Zamachał sympatycznie uszami i zniknął w zmroku.

Po chwili znowu usłyszałem uderzenia młotkiem.

Wróciłem do domu. W głowie kłębiło mi się od myśli, całkiem niestety bezużytecznych, i po raz pierwszy nie znajdowałem najmniejszej przyjemności w zastanawianiu się nad sobą. Popadłem w stan głębokiej depresji, takiej, która ogarniała mnie również później w życiu, kiedy ktoś inny dokonywał więcej niż ja.

To nowe uczucie wydało mi się jednak bardzo ciekawe i uznałem, że mimo wszystko jest ono chyba związane z moimi uzdolnieniami. Zauważyłem, na przykład, że gdy ośwładnie mną dostatecznie czarna melancholia, gdy wzdycham i gapię się na morze, robi mi się niemal przyjemnie. Bo jestem wtedy taki s t r a s z n i e godny pożałowania! To naprawdę fascynujące przeżycie.

Choć stan ten wciąż trwał, zacząłem, mimo pewnego roztargnienia, wprowadzać drobne zmiany w sterówce, posługując się narzędziami Fredriksona i kawałkami desek wyrzuconych na brzeg.

Uznałem bowiem, że dom jest za niski.

I tak powoli mijał ten smutny tydzień, bardzo ważny dla mojego rozwoju. Wbijałem gwoździe - i rozmyślałem. Piłowałem drzewo - i rozmyślałem. I ani razu nic nie pstryknęło mi w głowie - wiecie, co mam na myśli.

.oOo.

W nocy z czwartku na piątek była pełnia. Ustały w tę noc wszelkie odgłosy. Nawet poddani Autokraty zmęczeni się widać wiwatowaniem i zapalaniem sztucznych ogni. Miałem już gotowe schody na pierwsze piętro i siedziałem przy oknie z pyszczkiem w łapkach, a cisza panowała taka, że słychać było, jak wielkie włochate ćmy czyszczą sobie skrzydła.

Nagle dostrzegłem w dole, na plaży, jakąś małą, białą postać. Na pierwszy rzut oka wyglądała na Hatifnata. Lecz kiedy zbliżyła się płynnym ruchem, zobaczyłem coś, od czego włosy

zjeżyły mi się na karku. Postać była przezroczysta! Wyraźnie prześwitywały przez nią kamienie i nie rzucała wcale cienia!

Jeśli dodać, że owijało ją coś w rodzaju cienkiego, białego muślinu na firanki, jasne się staje dla każdego, że to był Duch!

Zerwałem się raptownie. Czy drzwi na dole zamknięte? A może Duch i tak przez nie przejdzie?... Co robić? Wtem zaskrzypiało frontowe wejście. Zimny przeciąg powiał schodami góry i dmuchnął mi w szyję.

Teraz, po latach, mam wątpliwości, czy wtedy kierował mną rzeczywiście strach. Chyba raczej przekonanie, że należy przedsięwziąć wszelkie kroki ostrożności. Dlatego też wczółgałem się energicznie pod łóżko i czekałem. Po chwili schody zaczęły trzeszczeć. Raz - leciutko, i jeszcze raz! Stopni było dziewięć, wiedziałem to dobrze, bo zbudowanie ich kosztowało mnie ogromnie dużo trudu (schody były kręcone). Kiedy więc naliczyłem dziewięć trzasków, a potem zrobiło się całkiem cicho, pomyślałem: „Teraz stoi już za drzwiami...”

.oOo.

W tym miejscu Tatuś Muminka przestał czytać robiąc efektowną pauzę.

- Ryjku - powiedział. - Podkręć lampę. Wystawcie sobie, że mam całkiem mokre łapki, kiedy czytam o tej nocy z Duchem!

- Czy ktoś coś mówił? - mruknął Ryjek budząc się.

Tatuś Muminka spojrzał na niego z wyrzutem i rzekł:

- Przecież to ja czytam moje pamiętniki.

- Z tym Duchem to dobre - odezwał się Muminek, który leżał w łóżku pod kołdrą podciągniętą aż po uszy. - Może zostać. Ale uważam, że te wszystkie twoje żalosne uczucia są trochę niepotrzebne. To się robi takie d ł u g i e.

- Długie? - oburzył się Tatuś. - Co chcesz przez to powiedzieć? W pamiętnikach muszą być smutne uczucia. Są we w s z y s t k i c h pamiętnikach. Ja wtedy przechodziłem kryzys.

- Co? - spytał Ryjek.

- Czułem się okropnie - rzucił Tatuś z irytacją. - Wręcz potwornie. Byłem taki nieszczęśliwy, że ledwo zauważałem zbudowany przez siebie piętrowy dom!

- Czy na jabłoni Joka rosły jabłka? - zapytał Włóczykij.

- Nie - odparł krótko Tatuś Muminka, po czym wstał i zamknął zeszyt.

- Wiesz co, Tatusiu - powiedział Muminek. - Ten ustęp o Duchu jest doskonały. Naprawdę. Wszyscy uważamy, że Duch jest rzeczywiście przerażający.

Ale Tatusia Muminka już nie było. Zszedł na dół i siedział teraz w salonie przypatrując się barometrowi, który nadal wisiał nad komodą. Nie była to już sterówka, lecz salon. Tatuś rozmyślał. „Co to takiego powiedział Fredrikson, kiedy zobaczył mój dom? Patrzcie no, co też ty potrafiłeś sklecić! Tak trochę protekcyjnie. Tamci nawet nie zauważyli, że dom zrobił się wyższy. Może powinienem skrócić ten rozdział o uczuciach. Może to się wydaje głupie i wcale nie przejmujące? Może cała książka jest głupia?”

- Siedzisz w takich ciemnościach - zdziwiła się Mama Muminka zaglądając przez drzwi od kuchni. Wracała właśnie ze spiżarni z porcją kanapek.

- Uważam, że ten rozdział o kryzysie w mojej młodości jest głupi - powiedział Tatuś.

- Chodzi ci o początek szóstego? - zapytała.

Tatuś mruknął coś niezrozumiale.

- To jedno z lepszych miejsc w całej książce - rzekła Mama Muminka. - Wszystko zaraz nabiera życia, jak dajesz parę stron bez przechwałek. Ale dzieci są za małe, żeby to zrozumieć. Tobie też przyniosłam kanapkę na dobranoc. Hej, na razie!

Mama weszła po schodach na górę. Trzeszczały w ten sam sposób co tamte. Dziewięć trzaśnieć. Ale te schody były znacznie lepiej zrobione od tamtych...

Tatuś Muminka zjadł po ciemku kanapkę. A potem też poszedł na górę, do Muminka, Włóczykija i Ryjka, żeby czytać dalszy ciąg pamiętników.

.oOo.

- Szpara w drzwiach powiększyła się odrobinę i biały wąski dymek wśliznął się, zwinął i opadł na dywan. W środku białego zwitka mrugało dwoje bladych oczu - widziałem wszystko bardzo dokładnie z mojej kryjówki pod łóżkiem.

- To naprawdę jest Duch - szepnąłem sam do siebie (na pewno mniej straszne było widzieć go niż słyszeć, jak wchodził po schodach). W pokoju zrobiło się bardzo zimno - jak to zwykle bywa w historiach o duchach - ciągnęło ze wszystkich kątów. Nagle - Duch kichnął!

Drodzy czytelnicy, nie wiem, co wy byście poczuli w takiej sytuacji, ale ja natychmiast straciłem część szacunku dla niego, wypełzłem spod łóżka (zresztą Duch już i tak mnie zauważył) i powiedziałem:

- Na zdrowie!

- Sam sobie życz zdrowia - odparł gniewnie. - W tę ponurą noc przeznaczenia zmory zawodzą w wąwozie.

- Czym mogę służyć? - zapytałem.

- W taką noc przeznaczenia jak ta - ciągnął Duch z uporem - zapomniane kości grzechoczą nad brzegiem morza!

- Czyje kości? - zdziwiłem się.

- Z a p o m n i a n e! - odparł Duch. - Bładożółty strach szczyrzy zęby nad tą potępioną wyspą. Miej się na baczności, śmiertelniku, wróć tu o północy w piątek trzynastego bieżącego miesiąca!

Powiedziawszy to, Duch zwinął się i frunął w stronę półotwartych drzwi, rzucając mi od progu okropne spojrzenie. Ale w sekundę później uderzył tyłem głowy we framugę i krzyżąc „Ajaj!” zsunął się po schodach i wyleciał na dwór, w poświętę księżycową.

Tam zawył trzy razy głosem hieny, ale już było trochę za późno, żeby to mogło zrobić jakiegokolwiek wrażenie.

Zobaczyłem, jak Duch rozwiewa się w pasemko mgły i odpływa w stronę morza. Nagle wybuchnąłem śmiechem. Mam już niespodziankę dla mojej kolonii! Mogę teraz zrobić coś okropnego, coś, na co nikt inny by się nie odważył!

Trochę przed północą w piątek trzynastego, podejmowałem moich kolonistów na plaży przed sterówką. Wieczór był piękny i spokojny, Nakryłem na piasku i podałem skromny posiłek: zupę, chrupki chleb i wino jabłeczne Autokraty (które można było nabierać z dużych beczek stojących przy każdym skrzyżowaniu dróg).

Porcelaną pomalowałem czarnym lakierem rowerowym i ozdobiłem ułożonymi na krzyż kośćmi.

- Mogłeś wziąć ode mnie czerwonej farby powiedział Wiercipiętek. - Albo żółtej i niebieskiej. Wybacz, ale byłoby chyba trochę przyjemniej?

- Wcale nie zamierzam stwarzać przyjemnego nastroju - odparłem stanowczo. - Dziś w nocy będą się tu działy potworne rzeczy. Bądźcie na wszystko przygotowani.

- To coś smakuje prawie jak zupa rybna. Czy aby dogotowana? - spytał Jok.

- Jedz i nie zwracaj głowy - uciałem krótko. - Uważasz może, że duchy to taka codzienna rzecz?

- Aha. Rozumiem - rzekł Jok. - Będziesz opowiadał historie o duchach.

- Bardzo lubię historie o duchach! - ucieszyła się córka Mimbli. - Mama zawsze starała się straszyć nas wieczorem okropny- mi historiami. Opowiadała i opowiadała, aż w końcu tak się sama zaczynała bać, że nie spaliśmy pół nocy, bo trzeba było ją uspokajać. Jeszcze gorzej jest z moim wujkiem. Jednego razu...

- Tu nie ma żartów - przerwałem jej rozgniewany. - Historie o duchach, na mój ogon! Ja wam p o k a ż ę Ducha. Prawdziwego!

Znajdę go i przywołam tutaj. I co wy na to? - spojrzałem na nich tryumfalnie.

Córka Mimbli zaczęła klaskać w łapki, ale Wiercipiętek ze łzami w oczach wyszeptał:

- Daj spokój, kochany, daj spokój!

- Ze względu na ciebie wywołam bardzo małego Ducha - pocieszyłem go.

Jok przestał jeść i spojrzał na mnie ze zdziwieniem - a może był to raczej podziw z jego strony?... Dlaczego by nie? A więc osiągnąłem swój cel, uratowałem honor i twarz! Jednakże, drodzy czytelnicy, czy możecie sobie przedstawić niepokój, który mną szarpał, zanim w końcu przysłała północ? Czy aby Duch wróci? Czy będzie dostatecznie straszny? A jeżeli zaczną kichać i gadać głupstwa, i popsuje cały efekt?

Zjawiskiem bardzo dobrze mnie charakteryzującym jest to, że staram się za wszelką cenę robić wrażenie na otoczeniu, a więc wzbudzać podziw, współczucie, strach czy w ogóle jakieś zainteresowanie moją osobą. Wynika to prawdopodobnie z mojego nie zrozumianego dzieciństwa.

W każdym razie kiedy zbliżała się dwunasta godzina, wdrapałem się na skałę, wzniosłem pyszczek ku księżycowi, zamachałem tajemniczo łapkami i zawyłem w sposób, który miał przenikać do szpiku kości. Innymi słowy, zacząłem wywoływać Ducha.

Koloniści siedzieli jak zaczarowani, w pełnym napięcia oczekiwaniu, i tylko w jasnych, krytycznych, wodnistych oczach Joka dostrzegłem błysk niedowierzania. Dziś odczuwam głębokie zadowolenie, że właśnie Jokowi wtedy zaimponowałem. Bo Duch się zjawił. Przyszedł naprawdę, był przezroczysty, nie rzucał cienia i natychmiast zaczął mówić o zapomnianych kościach i widmach z wąwozu.

Wiercipiętek wrzasnął chowając głowę w piasek.

Ale córka Mimbli podeszła śmiało i wyciągając łapkę powiedziała:

- Hej ! Jak miło spotkać prawdziwego Ducha. Chcesz trochę zupy?

Nigdy nie wiadomo, co Mimblom może przyjść do głowy!

Mój Duch, rzecz jasna, poczuł się dotknięty. Stracił od razu pewność siebie, skulił się cały i jakby przykurczył. A kiedy zniknął, biedaczysko, w smutnej smudze dymu, Jok wybuchnął śmiechem i jestem przekonany, że Duch to usłyszał. W ten sposób noc została popsuta.

Lecz koloniści mieli drogo zapłacić za swój niewybaczalny brak taktu. Przez następny tydzień działy , się rzeczy nie do opisania. Nocami nikt z nas nie mógł spać, bo Duch znalazł jakiś żelazny łańcuch i dzwonił nim do czwartej nad ranem, słychać było wycie psów i wilków, wlokły się czyjeś kroki, coś trzeszczało, meble same się ruszały i rozlatywały na kawałki.

Koloniści zaczęli narzekać.

- Zabierz tego swojego Ducha - powiedział Jok. - Ja chcę spać w nocy!

- Nie da rady - wyjaśniłem poważnie. - Jak się raz wywołało Ducha, to już trzeba z nim wytrzymywać.

- Ale Wiercipiętek płacze - rzekł Jok z wyrzutem. - Duch na- malował trupa czaszkę na jego puszcze i napisał pod nią: „Truczna”, i Wiercipiętek odchodzi od zmysłów twierdząc, że teraz nikt już nigdy nie będzie chciał go odwiedzić!

- Jaki on dziecinny - odezwałem się.

- A Fredrikson jest zły - mówił dalej Jok - bo twój Duch ciągle , szarpie za jego stalowe spirale i powypisywał różne przestrogi na całej „Symfonii Mórz”.

- W takim razie musimy coś na to poradzić! - przejąłem się.

- Natychmiast!

Napisałem prędko ogłoszenie i przyczepiłem je do drzwi sterówki. Treść jego brzmiała tak:
Szanowny Duchu!

Z wiadomych przyczyn odbędzie się spotkanie z Tobą w następny piątek przed zachodem i słońca. Wszystkie skargi będą rozpatrywane.

Królewska Samowolna Kolonia

P. S. Nie należy przynosić żelaznych łańcuchów.

Długo się zastanawiałem, czy mam napisać Królewska, czy Samowolna. W końcu zdecydowałem się na jedno i na drugie.

Duch odpowiedział czerwoną farbą na pergaminie (pergaminem okazał się stary płaszcz od deszczu Fredriksona; był przymocowany do drzwi nożem Mimbli do krajaniania chleba).

Zbliża się godzina przeznaczenia - pisał mój mały Duch. - Niech będzie w piątek, ale koło północy, kiedy na pustyni rozlega się samotne wycie szakala. O marne drobiny, schowajcie pyszczki do ziemi, która dudni od ciężkich kroków Niewidzialnego, bo Wasze przeznaczenie jest wypisane krwią na ścianach mogiły. A żelazny łańcuch i tak przyniosę, jeśli tylko będę miał ochotę.

Duch, zwany Najstraszniejszym

- Ciekawe - zauważył Jok. - Przeznaczenie wydaje się jego ulubionym słowem.

- Pamiętaj, żebyś się tym razem nie śmiał - uprzedziłem go stanowczo. - Takie są skutki, jak się nie ma szacunku dla niczego.

Posłaliśmy Wiercipiętkę, żeby zaprosił Fredriksona na zebranie z Duchem. Mogłem, rzecz jasna, pójść po niego sam, ale przypomniałem sobie, co mi kiedyś Fredrikson powiedział: „Nie patrz, póki nie będzie gotowe. Przychodzisz za wcześnie. Trochę mi się spieszy”. Tak wtedy powiedział. Uprzejmym co prawda, lecz niesłychanie obcym głosem.

Duch zjawił się dokładnie o północy i zawył trzy razy, żeby dać znać o sobie.

- Jestem! - powiedział w jemu tylko właściwy i nie dający się powtórzyć sposób. - Drżycie, śmiertelnicy, przed zemstą zapomnianych kości!

- Hej, hej! - przywitał go Jok. - Dlaczego ciągle pleciesz o tych jakichś starych kościach? Czyje one są? Dlaczego ich nie za- kopiesz?

Dałem Jokowi kopniaka w kostkę i powiedziałem grzecznie:

- Bądź pozdrowiona, maro z wąwozu! Jak się miewasz? Strach uśmiecha się bladożółto nad tym potępionym wybrzeżem.

- Nie używaj moich zwrotów! - rozgniewał się Duch. - W ten sposób mogę mówić tylko ja!

- Słuchaj no - zwrócił się do niego Fredrikson. - Czemu nie dajesz nam spać spokojnie? Może byś tak kogo innego postraszył, co?

- Wszyscy już się do mnie przyzwyczaili - odparł Duch ponuro. - Nawet Edward olbrzym przestał się mnie bać.

- Ale ja się boję! - zawołał Wiercipiętek. - Jeszcze ciągle się boję!

- To ładnie z twojej strony - ucieszył się Duch i szybko do- dał: - Zagubiona karawana szkieletów wyje w lodowozielonej poświacie księżycowej!

- Kochany Duchu - odezwał się łagodnie Fredrikson - wydajesz się trochę nieźrównoważony. Posłuchaj, co ci powiem: ty obiecasz, że, będziesz straszył gdzie indziej, a ja obiecuję nauczyć cię nowych sposobów straszenia. Zgoda?

- Fredrikson świetnie zna się na okropnościach! - zawołała córka Mimbli. - Nie masz pojęcia, czego on nie potrafi zrobić z fosforem i arkuszami blachy! Będziesz mógł przstraszyć na śmierć

Edwarda olbrzyma!

- I Autokratę - dodałem.

Duch patrzył na Fredriksona z niedowierzaniem.

- Chcesz mieć własną syrenę przeciwmgielną? - zaproponował Fredrikson. - A znasz sztuczkę z nicią żywiczną? W sam raz dla ciebie.

- Nie znam. Jak to jest? - zainteresował się Duch.

- Bierzesz nić do szycia, grubszego gatunku - wyjaśniał Fredrikson. - Ale najwyżej numer dwadzieścia. Przyczepiasz kawałek do czyjegoś okna. Stoisz na zewnątrz i pocierasz nić żywicą.

Przeraźliwe wycie.

- Na me demoniczne oko, jaki ty jesteś miły! - zawołał Duch i zwinął się u stóp Fredriksona. - Czy mógłbyś mi też wykombinować jakiś szkielet do mojego użytku? Arkusze blachy, mówicie?

Mam. Ale co się z nimi robi?

Potem Fredrikson siedział z Duchem aż do świtu, tłumacząc mu, jak może straszyć ludzi, i rysując konstrukcje na piasku. Był wyraźnie zachwycony tym dziecięcym zajęciem.

Rano Fredrikson wrócił do Ogrodu Niespodzianek, a Duch został zaliczony w poczet członków Królewskiej Samowolnej Kolonii Wagabundów, otrzymując zaszczytne imię: Strach na Wyspie Okropności.

- Słuchaj, Duchu - zwróciłem się do niego. - Czy miałbyś ochotę zamieszkać u mnie? Czuję się trochę samotny. Nie żebym - jasna rzecz - bał się, tak dosłownie, ale czasem jest mi w nocy dość nieprzyjemnie...

- Na wszystkie szakale - zaczął Duch blednąć gwałtownie, bo poczuł się obrażony. Ale zaraz się uspokoił i rzekł: - Dobrze, dlaczego nie, to miło z twojej strony.

Wymościełem więc posłanie dla Ducha w pudełku po cukrze, które pomalowałem na czarno i ozdobiłem czaszką i dwoma piszczelami ułożonymi na krzyż, żeby było przyjemniej.

Na kubku do picia napisałem: „Trucizna” (ku wielkiemu zadowoleniu Wiercipiętka).

- Jak tu sympatycznie! - pochwalił mnie Duch. - Czy nie będzie ci przeszkadzało, jeżeli postukam trochę o północy? Taki już mam nawyk.

- Stukaj, ile chcesz - zgodziłem się. - Byle nie dłużej jak pięć minut. I nie rozbij tramwaju z morskiej pianki, bo to bardzo cenna rzecz.

- Niech ci będzie pięć minut - rzekł Duch. - Ale nie gwarantuję za noc świętojańską.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W KTÓRYM OPISUJĘ TRIUMFALNE ODSŁONIĘCIE PRZEROBIONEJ „SYMFONII MÓRZ”, A TAKŻE BOGATE W WYDARZENIA PRÓBNE NURKOWANIE W GŁĘBINY MORSKIE.

Nadeszła noc świętojańska - i minęła (tej nocy zresztą urodziła się najmłodsza córka Mimbli, którą nazwano Mi, co oznacza: najmniejsza-jaka-jest). Rozkwitły kwiaty i stały się jabłkami albo czymś innym dobrym, i zostały zjedzone, a tymczasem ja utknałem w niebezpiecznej codzienności, która posunęła się tak daleko, że nawet posadziłem róże na mostku kapitańskim naszej łodzi i zacząłem grywać w kości z Wiercipiętkiem i Autokratą.

Wciąż nic się nie działo. Duch siedział przy piecu kaflowym robiąc na drutach szaliki i skarpetki, co jest bardzo kojącym zajęciem dla duchów o nadwreżonych nerwach. Początkowo udało mu się rzeczywiście nastraszyć kilka razy poddanych króla i był z tego powodu ogromnie szczęśliwy, lecz kiedy spostrzegł, że oni lubią być straszeni, przestał ich nawiedzać.

Córka Mimbli kłamała coraz częściej, a ja za każdym razem dawałem się nabrać. Któregoś dnia rozpuściła wiadomość, że Edward olbrzym zadeptał Autokratę! Jestem niestety zawsze przekonany, że ludzie naprawdę mają na myśli to, co mówią, i czuję się bardzo dotknięty, gdy stwierdzę, że kłamią albo bawią się moim kosztem.

Kiedy ja przesadzam, zawsze sam w to wierzę!

Czasem przychodził Edward olbrzym, stawał w wodzie przy brzegu i łąjał nas, po prostu z przyzwyczajenia. Jok nie po- zostawał mu dłużny, ale poza tym nie widziałem ani razu, żeby zajmował się czymkolwiek innym, jak tylko jedzeniem, spaniem, opalaniem się, chichotaniem z Mimblą i łażeniem po drzewach.

Początkowo łąził też po kamiennych murach, ale szybko się znudził, gdy odkrył, że to nie jest zabronione. Niemniej twierdził, że czuje się doskonale.

Od czasu do czasu widywałem przepływających nie opodal Hatifnatów i wtedy przez cały dzień następny trapiła mnie melancholia.

W tym to okresie rozwinął się we mnie ów niepokój, który później spowodował, że nagle poczułem gwałtowną niechęć do uporządkowanego i ubogiego w wydarzenia życia i zapragnąłem po prostu uciec.

Ale wreszcie coś się zdarzyło.

Pewnego dnia Fredrikson we własnej osobie stanął przed drzwiami sterówki w czapce kapitańskiej na głowie. Lecz czapka tym razem ozdobiona była dwoma małymi pozłocnymi skrzydełkami!

Zbiegłem pędem po schodach wołając:

- Fredrikson! Hej ! Fruwa, co?

Fredrikson zamachał uszami i kiwnął głową.

- Mówiłeś o tym komukolwiek? - spytałem z bijącym sercem.

Potrząsnął głową. I nagle znów poczułem się wagabundą, wróciła mi radość życia, byłem duży, mocny, piękny! Fredrikson najpierw mnie przyszedł powiedzieć, że jego wynalazek jest gotowy! Nawet Autokrata jeszcze tego nie wiedział!

- Prędko! Prędko! - krzyknąłem. - Pakujmy się! Zostawię moje róże! Rzucę dom! Ach, Fredrikson, pękne chyba od pomysłów i nadziei!

- Dobrze, dobrze - rzekł Fredrikson. - Ale wpieryw odbędzie się odślonięcie i próbny lot. Nie możemy zawieść króla podczas uroczystości.

Próbny lot odbył się tego samego popołudnia. Przerobiona łódź stała na estradzie przed tronem Autokraty, przykryta czerwoną draperią.

- Czarna byłaby bardziej uroczysta - zauważył mój mały Duch, robiąc tak gwałtownie na drutach, że aż dzwoniło. - Albo na przykład szara, niczym mgła o północy. Barwa strachu, jak wiecie.

- Ależ to gaduła - odezwała się Mimbla, która przyprowadziła ze sobą wszystkie swoje dzieci. - Jak się masz, kochana córko.

Widziałaś swoje ostatnie, najmłodsze rodzeństwo?

- Ach, mamusiu droga, znowu nowe dzieci?! - westchnęła córka Mimbli. - Powiedz im, że ich starsza siostra jest królewską księżniczką kolonialną i pojedzie w podróż naokoło księżycy na latającej łodzi!

Młodsze rodzeństwo dygało wytrzeszczając na nią oczy.

Fredrikson co chwila wpełzał pod draperię, żeby skontrolować, czy wszystko jest w porządku.

- Coś w rurze wydechowej - mrucał. - Jok! Wejdz na pokład i puść w ruch śmigło!

Po chwili duże śmigło zaczęło się kręcić. Zaraz potem z rury wydechowej wyleciało mnóstwo owsianki, trafiając Fredriksona w oczy.

- Coś tu nie gra - mruknął Fredrikson. - Skąd ta owsianka?

Dzieci Mimbli piszczały z radości.

- Przepraszam! - zawołał Wiercipiętek bliski płaczu. - Ale ja naprawdę wyrzuciłem resztki śniadania do czajnika, a n i e do rury wydechowej !

- Co się tu dzieje? - zapytał Autokrata.

- Czy możemy zacząć Nasze uroczyste przemówienie, czy też jesteście zajęci?

- To wszystko przez moją małą córeczkę Mi - wyjaśniła Mimbla z zachwytem. - Jaką to dziecko ma silną indywidualność! Żeby wrzucić owsiankę do rury wydechowej ! No, sami powiedzcie!

- Nie ma się pani czego tak cieszyć - rzekł Fredrikson dość oschle.

- Więc możemy zaczynać? - spytał król.

- Niech Wasza Królewska Mość zaczyna - odpowiedziałem.

Po krótkim sygnale syreny przeciwmgielne zjawiła się ochotnicza orkiestra Paszczaków i Autokrata wszedł na tron wśród wiwatów i oklasków.

Kiedy zrobiło się cicho, król przemówił w te słowa:

- Słuchajcie, głupi, starzy poddani! Nadarzyła się stosowna okazja, żeby skierować do was kilka głębokich słów. Przyjrzyjcie się Fredriksonowi, Królewskiemu Nadwornemu Wynalazcy

Niespodzianek. Największa z nich zostanie dziś odsłonięta i będzie przemierzać ziemię, wodę i powietrze. Zastanówcie się dobrze nad tym dziełem odważnej myśli! A wy co robicie w waszych norach? Węszycie, grzebiecie się, gmeracie i gadacie głupstwa!

Tymczasem my dalej spodziewamy się po was wielkich rzeczy, weźcie to pod uwagę, niewydarzeni, umiłowani poddani! Postarajcie się przydać nieco świetności i sławy naszym pagórkom, a jeżeli nie potraficie, to przynajmniej wiwatujcie na cześć dzisiejszego bohatera!

I lud tak wiwatował, że aż ziemia drżała.

Paszczaki zagrały Królewskiego Uroczystego Walca i wśród deszczu róż i japońskich pereł Fredrikson podszedł i pociągnął za sznurek.

Ach, co to była za chwila!

Draperia opadła z „Symfonii Mórz”.

Ukazała się jednak nie nasza dawna łódź, a jakiś uskrzydłony przedmiot z metalu, jakaś obca, dziwna maszyna! Ogarnęło mnie przygnębienie. Lecz nagle zauważyłem coś, co pomogło mi pogodzić się z nowym kształtem łodzi - jej nazwa w ciemnoniebieskim kolorze pozostała ta sama: „Syfonia Musz!”

Potem ochotnicza orkiestra Paszczaków odegrała hymn Autokraty (ten, wiecie, z refrenem: „Zdziwiliście się teraz wszyscy, cha, cha”) i Mimbla tak się wzruszyła, że zaczęła płakać.

Fredrikson wcisnął czapkę na uszy i wszedł na pokład w otoczeniu Królewskiej Samowolnej Kolonii Wagabundów (nadal wśród deszczu róż i japońskich pereł), a „Symfonia Mórz” szybko zapełniła się dziećmi Mimbli.

- Wybaczcie! - zawołał nagle Wiercipiętek i zbiegł po trapie z powrotem na ziemię. - Nie, nie odważę się! Nie polecę do góry!

Znów by mi było niedobrze! - Po czym wmieszał się błyskawicznie w tłum ginąc nam z oczu.

Maszyna zaczęła się trząść i bzyzczeć, drzwi zostały szczelnie pozamykane. „Symfonia Mórz” kiwała się niepewnie to w przód, to w tył, wciąż stojąc na estradzie, a potem nagle wykonała tak gwałtowny skok, że aż machnąłem kozła.

Kiedy odważyłem się spojrzeć przez okno, lecieliśmy przed siebie nad wierzchołkami drzew w Ogrodzie Niespodzianek.

- Fruwa! Fruwa! - wrzeszczał Jok.

Nie znajduję słów, by opisać owo jedyne w swoim rodzaju uczucie, które mnie ogarnęło, gdy uniosłem się w powietrze. Chociaż jestem w zupełności zadowolony z tej, że tak powiem, sylwetki, jaką obdarzyło mnie niezbadane przeznaczenie, to jednak nie sądziłem - muszę to stwierdzić - że nadaje się ona do fruwania.

Tymczasem nieoczekiwanie poczułem się lekki i elegancki jak jaskółka, opuściły mnie wszelkie troski, byłem błyskawicznie szybki i niezwycięzony. A przede wszystkim sprawiało mi wyszukaną przyjemność patrzenie w dół, na tych wszystkich, którzy nadal dreptali po ziemi bądź też gapili się z trwożnym podziwem w górę, na mnie. To była zachwycająca chwila, niestety, znacznie za krótka.

Bo „Symfonia Mórz” zaczęła opuszczać się łagodnym łukiem ku ziemi, a w chwilę później opadła na wodę i już pruć fale, z białymi wąsami piany przy dziobie. Płynęliśmy wzdłuż brzegów wyspy.

- Fredrikson! - zawołałem. - Fruńmy dalej!

Ale on popatrzył na mnie wcale mnie nie widząc. Jego oczy zrobiły się bardzo niebieskie i cały promieniał jakimś tajemniczym tryumfem, który nie miał nic wspólnego z nami wszystkimi.

A potem kazał „Symfonii Mórz” zanurzyć się w głąb morza.

Wypełniła się zielonym, przezroczystym światłem, za bulajami* naszej kabiny przelatywały roje pęcherzyków powietrza.

- Idziemy na dno - oświadczyła mała Mi.

* Bulaj - wodoszczelne okno statku.

Przycisnąłem nos do szyby i spojrzałem w morze. „Symfonia Mórz” zapaliła na śródkręciu wieniec światła, ale ich słabe, drżące promienie ginęły szybko w mrocznej wodzie.

Przeszedł mnie dreszcz. Gdzie nie spojrzeć, tylko zielona ciemność. Sunęliśmy w wiecznej nocy i całkowitej pustce. Fredrikson wyłączył silnik i opadaliśmy milczącym ślizgiem coraz głębiej i głębiej. Nikt nie odzywał się, byliśmy - trzeba przyznać - trochę wystraszeni.

Ale uszy Fredriksona sterczały prościutko z wielkiej radości i zauważyłem, że włożył znów inną czapkę kapitańską - ozdobioną dwoma malutkimi srebrnymi płetwami.

Wśród niesamowitej ciszy usłyszałem po pewnym czasie jakiś szept, coraz to wyraźniejszy. Brzmiał tak, jakby tysiące przerażonych głosów powtarzały w kółko jedno, i to samo: „Pies morski, pies morski, pies morski...”

Drodzy czytelnicy, spróbujcie poszeptać trochę te słowa, ostrzegawczo i bardzo powoli - brzmią one strasznie!

Zaczęliśmy odróżniać teraz dziesiątki małych cieni wyłaniających się z ciemności. To były ryby i węże morskie, wszystkie z latarkami przy pyszczkach.

- Dlaczego nie zapaliły tych swoich latarek? - zdziwiła się Mimbla.

- Może baterie się wyczerpały - odparła jej córka. - Mamusiu, kto to jest pies morski?

Ryby podpływały aż pod samą „Symfonię Mórz”, okazując żywe nami zainteresowanie.

Otaczały ciasnym kręgiem opadającą łódź, a my wciąż słyszeliśmy przerażony szept: „Pies morski, pies morski, pies morski!”

- Coś tu nie jest w porządku - powiedział Jok. - Znów mam Przeczucia. Czuję w pyszczku, że one nie mają odwagi zapalić latarek. Jak można zabronić komuś zapalić latarkę, którą ma na własnej głowie!

- Może to pies morski im zabronił - szepnęła córka Mimbli, cała rozpromieniona z podniecenia. - Miałam ciotkę, która nigdy nie odważyła się zapalić swego prymusa, bo jak to zrobiła pierwszy raz, wszystko wyleciało w powietrze razem z nią!

- Zaraz się spalimy - orzekła mała Mi.

Ryby podpłynęły jeszcze bliżej. Opasywały teraz „Symfonię Mórz” szczelnym murem, wpatrzone w nasze światła.

- Czy one mogą mówić? - zapytałem.

Wtedy Fredrikson włączył odbiornik radiowy. Ten syczał przez chwilę, a potem usłyszeliśmy tysiąckrotne jęśliwe wycia: „Pies morski, pies morski! Jest coraz bliżej, coraz bliżej... Zgaś światła! Zgaś światła! Będziesz zjedzony.... Ile masz watów, nieszczęsny wielorybie?”

- Jak ciemno, to ciemno - odezwał się mój Duch z uznaniem. - Noc przeznaczenia owija cmentarz całunem, czarne upiory krzyczą posepnie.

- Tssss - uciszył go Fredrikson. - Słyszę coś...

Nadstawiliśmy uszu. Gdzieś z daleka dochodził słaby odgłos jakby jakichś uderzeń, coś w rodzaju bicia pulsu - nie, raczej stąpania, jakby ktoś zbliżał się powoli wielkimi krokami. W jednej chwili wszystkie ryby zniknęły.

- Zaraz będziemy zjedzeni - odezwała się mała Mi.

- Ja chyba położę dzieci - rzekła Mimbla. - Wszyscy do łóżek!

Mimblątka ustawiły się w kółko, żeby jedno drugim mogły poodpinać guziki na plecach.

- Same się policzcie dziś wieczór - powiedziała im ich mama.

- Trochę mi trudno zebrać myśli.

- A poczytasz nam? - dopominały się dzieci.

- Chyba tak - odparła Mimbla. - Na czym to skończyliśmy?

Dzieci wyrecytowały chórem:

- „To - jest - jednooki - Bob - mokra - robota - stwierdził - inspektor - policji - Twiggs - i - wyciągnął - trzycalowy - gwóźdź - z - ucha - zamordowanego - to - musiało - mieć - miejsce...”

- Dobrze, dobrze - rzekła Mimbla. - Ale pośpieszcie się trochę.

Dziwny, przerywany odgłos wyraźnie się przybliżył. „Symfonia Mórz” kołysała się niespokojnie, aparat radiowy syczał jak kot.

Czując, że włos jeży mi się na karku, zawołałam:

- Fredrikson! Zgaś światła!

Zanim zrobiło się ciemno, mignęła nam koło prawej burty sylwetka psa morskiego - to było coś nieopisanie strasznego, może głównie dlatego, że zdążyliśmy uchwycić tylko ogólny zarys tego potwora. W ciemności wyobraziłem sobie szczegóły --i to było jeszcze gorsze.

Fredrikson puścił maszynę w ruch, ale był widocznie zbyt przejęty, żeby dobrze sterować. Zamiast wzbic się do góry, „Symfonia Mórz” szybko opadła na samo dno morza.

Tam uruchomiła swe nogi gaśienicy i zaczęła pełznąć po piasku. Trawy morskie przesuwają się koło naszych okien jak dłonie, które szukają czegoś po omacku. Pograżeni wciąż w ciemności słyszeliśmy sapanie psa morskiego. Nagle wyłonił się spośród wodorostów podobny do szarego cienia, oczy miał żółte, a z nich były dwa okropne strumienie światła błędzące jak reflektory po burtach.

- Wszyscy pod kołdrę! - krzyknęła Mimbla do swoich dzieci. - I nie pokazujcie się, dopóki nie powiem, że można!

Dał się słyszeć straszliwy trzask przy rufie: pies morski zaczął od steru.

Wtedy w morzu powstało gwałtowne zamieszanie. „Symfonia Mórz” została uniesiona i przewrócona na plecy, wodorosty położyły się na dnie morskim powiewając włosami, woda huczała, jakby ktoś otworzył kran w łazience. My przewracaliśmy się jedni na drugich, szafki pootwierały się, porcelanowe nakrycia wyleciały i zaczęły tańczyć razem z owsianką, kaszą manną, tapioką i ryżem, z butami dzieci Mimbli i drutami Ducha, tytoń Joka wysypał się z pudełka i w ogóle zrobiło się po prostu okropnie. Z ciemnych głębin morskich dochodziło nas takie wycie, że puszek jeżył się na każdym ogonku.

A potem zapadła cisza. Przerażliwa cisza.

- Dosyć lubię fruwać - powiedziała Mimbla szczerze - ale wcale nie lubię nurkować. Ciekawa jestem, ile mi zostało dzieci.

Policz je, córeczko!

Ledwo córka Mimbli zaczęła liczyć, kiedy jakiś okropny głos zawołał:

- Ach, więc to tak! Tu jesteście, całe przekłete towarzystwo! A niech was pchły zjedzą! Myśleliście, że uda się wam ukryć na dnie morskim, co? Nie przede mną! Nie przede mną, któremu wciąż zapominacie powiedzieć: Do widzenia!

- A któż to jest? - wykrzyknęła Mimbla.

- Wolno ci zgadywać trzy razy - powiedział Jok uśmiechając się.

Fredrikson zapalił światła i wtedy Edward olbrzym - bo to był on - wsadził głowę pod wodę i zajrzał do nas przez okienko kabiny.

My też patrzyliśmy na niego z możliwie najbardziej beztroskim wyrazem twarzy i wtedy dostrzeżliśmy kilka kawałków psa morskiego, pływających nie opodal, bo Edward olbrzym całkiem go rozdeptał.

- Edward! Przyjacielu drogi - zawołał Fredrikson.

- Nigdy, nigdy ci tego nie zapomnimy - dodałem. - Wyratowałeś nas w ostatniej chwili!

- Uściskajcie wujaszka, dzieci! - wykrzyknęła Mimbla, płacząc ze wzruszenia.

- Co? - rzekł Edward olbrzym. - Nie wypuszczaj tylko żadnych dzieci! Powłóż mi do uszu! Jesteście coraz bardziej niemożliwi!

Niedługo nie będziecie się nadawać nawet do zjedzenia. Nogi schodziłem, żeby się dowiedzieć, co się z wami dzieje, a wy, jak zawsze, próbujecie podlizywać się i wykręcać ze wszystkiego.

- Zadeptałeś na śmierć psa morskiego! - krzyknął Jok.

- Co ty mówisz?! - Edward olbrzym aż podskoczył. - Znowu kogoś rozgniotłem? To nie moja wina, naprawdę! A teraz akurat n i e m a m pieniędzy na pogrzeby...

Nagle rozgniewał się i ryknął:

- Dlaczego pozwalacie jakimś waszym starym psom plątać mi się pod nogami? Sami jesteście sobie winni!

Po czym, głęboko urażony, odszedł brodząc w morzu. Ale odwrócił się jeszcze i zawołał:

- Przyjdę jutro rano na kawę! Żeby tylko była mocna!

Nagle zdarzyło się coś nowego: całe dno morza zajaśniało!

- A teraz spalimy się - powiedziała mała Mi.

Zewsząd płynęły ku nam setki milionów bilionów ryb z zapalonymi lampami, latarkami kieszonkowymi, latarniami, sztormówkami, z żarówkami i karbidówkami. Niektóre ryby miały jarzące się kinkiety przy każdym uchu, a wszystkie wychodziły z siebie ze szczęścia i wdzięczności.

Morze, dopiero co tak ponure, rozbłysło barwami tęczy, zazieleniło się jak trawnik, na którym zakwitły liliowe, czerwone i żółte anemony, a węże morskie stawały na głowie z radości.

Nasza droga do domu była drogą tryumfu. Płynęliśmy zakosami po całym morzu i nikt z nas nie wiedział, czy to ryby z lampami, czy może gwiazdy tańczą przed oknem naszej kabiny.

Dopiero nad ranem, mocno już zmęczeni i senni, wzięliśmy kurs na wyspę Autokraty.

ROZDZIAŁ ÓSMY
W KTÓRYM PRZEDSTAWIAM OKOLICZNOŚCI TOWARZYSZĄCE WESELU
WIERCIPIĘTKA, OPISUJĘ DYSKRETNIE MOJE DRAMATYCZNE SPOTKANIE Z
MAMĄ MUMINKA I WRESZCIE KREŚLĘ PEŁNE GŁĘBOKICH TREŚCI OSTATNIE
ZDANIA MOICH PAMIĘTNIKÓW.

Dziesięć mil morskich od brzegu zauważyliśmy łódkę dającą chorągiewkami sygnał wzywania pomocy.

- To Autokrata - zawołałem poruszony. - Czy myślicie, że poddani króla mogli tak wcześnie rano zrobić rewolucję? (Ale to byłoby chyba całkiem do nich niepodobne).

- Rewolucję? - rzekł Fredrikson i ruszył całą naprzód. - Żeby tylko nic się nie stało - mojemu bratankowi!

- O co chodzi? - zawołała Mimbla, kiedy zatrzymaliśmy się koło łódki króla.

- O co? O wszystko! - odpowiedział zdenerwowany Autokrata. - Wszystko się pokręciło! Musicie wracać natychmiast do domu!

- Czyżby zapomniane kości nareszcie wzięły odwet? - zapytał Duch z nadzieją w głosie.

- To ten wasz mały Wiercipiętek wszystkiemu winien - dyszał król wdrapując się na pokład naszej łodzi. - (Zajmijcie się łódką, któryś z was). Wy płynęliśmy za wami w Naszym Majestacie, bo nie wierzymy ani na jotę Naszym poddanym.

- Wiercipiętek?! - wykrzyknął Jok.

- Tak. Właśnie on - powiedział król. - Bardzo lubimy wesela, ale siedmiu tysięcy Gryzilepków z wściekłą ciotką na czele nie możemy wpuścić do naszego królestwa.

- Kto się żeni? - zainteresowała się Mimbla.

- Mówiliśmy już przecież. Wiercipiętek! - rzucił Autokrata.

- Niemożliwe - rzekł Fredrikson.

- Tak, tak, tak. Chce się natychmiast ożenić! - odparł nerwowo król. - Z jakąś Groką (Cała naprzód, proszę!) Zakochali się w sobie od pierwszego wejrzenia, zaczęli wymieniać się guzikami i biegać w kółko, i wygłupiać się bez chwili przerwy, a teraz wysłali telegram do jakiejś ich ciotki (choć ona jest podobno zjedzona) i do siedmiu tysięcy Gryzilepków, zapraszając wszystkich na ślub. Jesteśmy gotowi zjeść własną koronę, jeżeli oni nie pogrzebią całego królestwa. Dajcie nam, któryś z was kieliszek wina! .

- Czyżby zaprosili C i o t k ę P a s z c z a k a? - spytałem wstrząśnięty, podając Autokracie wino.

- Tak, tak, chyba tak - odparł ponuro. - Ciotkę z połową nosa i w dodatku w złym humorze. Uwielbiamy niespodzianki, ale wolimy je robić sami.

Zbliżaliśmy się do brzegu.

Na samym końcu pomostu czekał Wiercipiętek z Groką u boku.

„Symfonia Mórz” przybiła i Fredrikson rzucił linę do kilku poddanych, którzy stali podziwiając nas.

- No i co? - powiedział.

- Wybacz! - zawołał Wiercipiętek. - Ożeniłem się!

- A ja wyszłam za mąż - szepnęła Groka dygając.

- Przecież mówiliśmy, żebyście poczekali do popołudnia - zmartwił się Autokrata. - Teraz nie będzie już zabawnego wesela!

- Przepraszam, ale myśmy nie mogli tak długo czekać - powiedział Wiercipiętek. - Jesteśmy tacy w sobie zakochani!

- Ach, mój Boże, mój Boże! - zawołała Mimbla ze łzami w oczach i zbiegła prędko po trapie. - Gratulacje! Jakaż ona milutka, ta mała Groka! Złóżcie im życzenia, dzieci, oni się pobrali!

- A teraz się poczubią - orzekła Mi.

.oOo.

W tym miejscu czytanie zostało przerwane przez Ryjka, który zerwał się nagle, wołając:

- Stop!

- Tatusi czyta o swojej młodości! - upomniał go Muminek.

- I o młodości m o j e g o tatusia - rzekł Ryjek z nieoczekiwaną godnością. - Ciągłe słyszę mnóstwo rzeczy o Wiercipiętku, ale nigdy ani słowa o tej Groce.

- Zapomniałem o niej - wymamrotał Tatusi Muminka. - Dopiero teraz będzie o niej mowa...

- Zapomniałeś o m o j e j m a m i e! - wrzasnął Ryjek.

Drzwi do sypialni otworzyły się i Mama Muminka wsunęła przez nie głowę.

- Jeszcze nie śpicie? - zapytała. - Zdawało mi się, że ktoś wzywa mamę.

- To ja! - wybuchnął Ryjek wyskakując z łóżka. - Pomyśleć tylko! Słyszę tu wciąż o tatusiach i tatusiach, i tatusiach, i potem nagle, bez żadnego uprzedzenia, dowiaduję się, że była też mamusia!

- Przecież to zupełnie naturalne - zdziwiła się Mama Muminka. - O ile wiem, miałaś bardzo udaną mamę, z dużą kolekcją guzików.

Ryjek spojrzał surowo na Tatusia Muminka i rzekł:

- Ach, tak?!

- Z mnóstwem różnych kolekcji - zapewnił go Tatuś. - Kamieni, muszli, szklanych paciorków, wszystkiego, co chcesz! A w dodatku sama była niespodzianką!

Ryjek zatonął w myślach.

- Skoro mowa o mamach - odezwał się Włóczykij - jak to właściwie było z tą Mimblą? Czy ja też miałem mamę?

- Oczywiście! - odparł Tatuś Muminka. - I to nawet bardzo sympatyczną.

- W takim razie mała Mi jest moją krewną - zawołał Włóczykij ze zdziwieniem.

- Tak, tak, naturalnie! - rzekł Tatuś Muminka. - Ale nie przerywajcie mi. To są przecież moje pamiątki, a nie jakieś badania nad pokrewieństwami.

- Czy pozwolicie mu czytać dalej? - zapytał Muminek.

- Niech czyta - odparli równocześnie Ryjek i Włóczykij.

- Dziękuję - rzekł Tatuś Muminka i zabrał się z powrotem do lektury.

.oOo.

Wiercipiętek i Groka dostawali prezenty ślubne przez cały dzień. W końcu, gdy puszka po kawie była już całkiem pełna, zaczęto kłaść guziki, kamienie, muszle, gałki od szaf i przeróżne inne rzeczy (nie dam rady wszystkiego wyliczyć) na stos, obok puszki. Wiercipiętek usiadł na szczycie stosu trzymając Grokę za łapkę i nie posiadał się ze szczęścia.

- Strasznie przyjemnie być żonatym - oznajmił.

- Być może - rzekł Fredrikson. - Lecz posłuchaj. Czy m u s i e l i ś c i e zapraszać Ciotkę Paszczaka? I Gryzilepki?

- Wybacz, ale byłoby im na pewno przykro, gdyby nie zostali zaproszeni - odparł Wiercipiętek.

- No, ale Ciotka, Ciotka! - zawołałem.

- Wiesz co - powiedział Wiercipiętek szczerze. - Tak naprawdę to ja wcale za nią nie tęsknię. Rzecz w tym, że mam bardzo nieczyste sumienie! Przecież to ja chciałem, żeby się znalazł ktoś, kto by ją zjadł!

- Hm - rzekł Fredrikson. - No tak. Może i racja.

Gdy zbliżała się godzina nadejścia statku pocztowego, po- most, pagórki i całe wybrzeże wypełniły się licznie przybyłymi poddanymi Autokraty. Jego Wysokość siedział na tronie pod baldachimem, na najwyższym pagórku, czekając, żeby dać znak ochotniczej orkiestrze Paszczaków.

Wiercipiętka z Groką posadzono w specjalnej łódce ślubnej w kształcie łabędzia. Wszyscy byli bardzo podnieceni, bo wiadomość o Ciotce Paszczaka i jej charakterze rozeszła się po całej wyspie. Poza tym bano się, nie bez powodu, że Gryzilepki podkopią królestwo i zjedzą drzewa w Ogrodzie Niespodzianek. Nikt jednak nie powiedział słowa o tym wszystkim nowożeńcom, którzy w błogim spokoju wymieniali się guzikami.

- Czy myślicie, że można by ją odstraszyć przy pomocy fosforu albo żywicznej nici? - spytał Duch, zajęty właśnie wyszywaniem trupich czaszek na serwetce dla Groki.

- Ją na pewno nie, niestety - odparłem ponuro.

- Ona znów zacznie od wychowawczych gier - przepowiadał Jok.

- Może nawet nie pozwoli nam zapaść w zimowy sen i każe nam jeździć na nartach.

- Co to takiego? - spytała córka Mimbli.

- Suwa się nogami po opadach atmosferycznych - wyjaśnił Fredrikson.

- Ojej! - wykrzyknęła Mimbla przerażonym głosem. - Jakie to okropne!

- Teraz wszyscy pomrzemy - powiedziała Mi.

W tym momencie trwożliwy szmer przeszedł po zebranych.

Zbliżał się statek pocztowy. Ochotnicza orkiestra Paszczaków rozpoczęła hymn „Zachowaj Nasz niemądry lud”, a weselny łabędz wypłynął na spotkanie statku. Kilkoro dzieci Mimbli wpadło do wody z wielkiego podniecenia, syrena przeciwmgielna zaczęła wyc, a Jok stracił panowanie nad sobą i uciekł.

Dopiero gdy spostrzegliśmy, że statek pocztowy jest pusty, przyszło nam na myśl, że siedem tysięcy Gryzilepków chyba się na nim nie zmieściło. Wzdłuż wybrzeża rozległy się zmieszane okrzyki ulgi i rozczarowania. Bo tylko jeden malutki Gryzilepek zeskoczył do łódki-łabędzia. Ta szybko zawróciła i już zbliżała się do lądu.

- Co to takiego? - zdumiał się Autokrata, który nie mogąc już wytrzymać z ciekawości opuścił tron i zszedł aż nad samą wodę. - Tylko jeden Gryzilepek?

- To nasz własny, stary Gryzilepek! - wykrzyknąłem. - Trzyma w objęciach jakąś olbrzymią paczkę!

- A więc jednak została zjedzona! - rzekł Fredrikson.

- Cisza! Cisza! - zawołał król włączając syrenę. - Zróbcie miejsce dla Gryzilepka! On jest Ambasadorem!

Tłum rozstał się, żeby przepuścić młodą parę i Gryzilepka, który przyczłapał do nas i położył paczkę na ziemi. Była lekko nadgryziona na rogach, ale poza tym w dobrym stanie.

- No i co? - rzekł Autokrata.

- Ciotka Paszczaka kazała pozdrowić... - powiedział Gryzilepek szukając czegoś gwałtownie w kieszeniach swego niedzielnego ubrania.

Wszyscy skakaliśmy w miejscu z niecierpliwości.

- Prędzej ! Prędzej ! - wołał król.

W końcu Gryzilepek wyciągnął pomięty list i wyjaśnił z godnością:

- Ciotka Paszczaka nauczyła mnie pisać. Umiem prawie cały alfabet. Wszystkie litery poza a, e, y. Podyktowała mi tutaj to, co chce wam przekazać.

Gryzilepek nabrał tchu i zaczął z mozołem czytać:

DROGIE DZIECI!

PISZ DO WAS TE SŁOWA Z NIEZMIERNYM ŻALEM, NIECZYSTYM SUMIENIEM I UCZUCIEM NIE SPEŁNIONEGO OBOWIĄZKU. NIE MOGĘ, NIESTET, W ŻADEN SPOSÓB PRZEBĆ NA WASZ ŚLUB, ALE MAM NADZIEJĘ, ŻE WBACZCIE MI TEN KARGODNY POSTĘP. WIERZCIE MI, CZUJ SIĘ ZASZCZONA I SZCZĘŚLIWA, ŻE TSKNICIE ZA MNĄ, I WPLAKAŁAM MORZĄ ŁEZ ZE WZRUSZENIA, ŻE MAŁY WIERCIPITEK POSTANOWIŁ OŻENIĆ SIĘ.

BRAK MI SŁÓW, BARDZO WAM PODZIĘKOWAĆ, DROGIE DZIECI, ZA TO, ŻE WRATOWALIŚCIE MNIE OD ZJEDZENIA PRZEZ BUKA, A TAKŻE, ŻE ZAPOZNALIŚCIE MNIE Z ROZKOSZNYMI GRZILEPKAMI. UWAŻAM ZA MÓJ OBOWIĄZEK PODZIĘKOWAĆ SIĘ Z WAMI OKROPNĄ PRAWDĄ: TAK MI JEST DOBRZE Z GRZILEPKAMI I ONY TAK MNIE POLUBIŁY, ŻE NAWET HUCZNE WESELE NIE JEST W STANIE SKŁONIĆ NAS DO WJAZDU Z DOMU. CAŁY DZIEŃ GRAM W WYCHOWAWCZE GR I TSKNIM ZA OSTRZYM I WESOŁYMI HARCAMI NA ŚNIEGU.

AŻEB W JAKIŚ SPOSÓB ZMNIĘJSZĘ WASZE ROZCZAROWANIE, POSŁAM WAM KOSZTOWNY PREZENT ŚLUBNY, KTÓRY, MAM NADZIEJĘ, BĘDZIE ZAWSZE ZDOBIŁ PUSZKĘ PO KAWIE WIERCIPITKA.

SZEŚĆSET DZIEWIĘDZIESIĘT DZIEWIĘĆ POZDROWIEŃ OD GRZILEPKÓW.

WASZA WDZICZNA I KOCHAJĄCA

CIOTKA PASZCZAKA

Na pagórkach zapanowała cisza.

- Co to znaczy: wdzięczna? - zapytałem.

- Wdzięczna ma się rozumieć - odparł Gryzilepek.

- Lubisz wychowawcze gry? - zapytał ostrożnie Fredrikson.

- Ogromnie! - odparł Gryzilepek.

Usiadłem czując się trochę oszołomiony.

- Kochany Gryzilepku, otwórz paczkę! - zawołał Wiercipiętek.

Gryzilepek przegryzł uroczyście sznurek i ukazała się fotografia naturalnej wielkości, przedstawiająca Ciotkę Paszczaka jako królową Gryzilepków.

- Ma nos! - krzyknął Wiercipiętek. - Ach, jaki jestem szczęśliwy! Ach, jak to dobrze!

- Mój drogi, przypatrz się ramie - powiedziała Groka.

Spojrzeliśmy wszyscy na ramę i wykrzyknęliśmy:

- Oooo!!!

Cała była z prawdziwego hiszpańskiego złota i miała w każdym rogu róże z topazów i ametystów. Przy samej fotografii biegł rząd małych diamentów (z tyłu rama była wysadzana zwykłymi turkusami).

- Myślisz, że dałoby się je wydłubać? - spytała Groka.

- Na pewno! - wykrzyknął zachwycony Wiercipiętek. - Zdaje mi się, że jest jakaś dłubaczka wśród prezentów:

Gdyśmy tak rozmawiali, rozległ się nagle nad całą zatoką okropny głos:

- A niech was pchły zjedzą! Czekam tu i czekam na moją po- ranną kawę i nikomu z was nie przyjdzie na myśl, żeby się zająć starym Edwardem!

.oOo.

W kilka dni po przeczytaniu wspomnień ze ślubu Wiercipiętka

Tatuś Muminka siedział z rodziną na werandzie.

Był burzliwy, wrześnieowy wieczór. Mama Muminka przygotowała grog i kanapki z miodem i wszyscy wystroili się odświętnie, tak jak na bardzo uroczyste okazje.

- No i co? - odezwała się Mama Muminka, a w głosie jej brzmiało niecierpliwe oczekiwanie.

- Pamiętniki zostały dziś zakończone - oznajmił Tatuś Muminka zdławionym głosem. - O osiemnastej czterdzieści pięć. Ostatnie zdania - no tak, sami się wypowiedzcie, co o nich myślicie!

- Nie napisałeś nic o twoim łajdackim życiu wśród Hatifnatów? - zapytał Włóczykij.

- Nieee - odparł Tatuś. - To ma być p o u c z a j ą c a książka.

- Właśnie dlatego! - wykrzyknął Ryjek.

- Tsssstssss - przerwała mu Mama Muminka. - A czy nigdzie nie będzie nic o m n i e? - dodała mocno się czerwieniąc.

Tatuś pociągnął trzy duże łyki grogu i powiedział:

- Właśnie! Słuchaj teraz dobrze, mój synu, bo w ostatnim odcinku jest mowa o tym, jak spotkałem twoją Mamę.

Otworzył zeszyt i zaczął czytać.

.oOo.

Nastąpiła jesień. Nad wyspą Autokraty, zasnutą ustawiczną mgłą, przeciągały gęste, szare deszcze. Byłem swego czasu głęboko przekonany, że nasza wspaniała podróż na „Symfonii Mórz” jest tylko wstępem do jakiejś wielkiej wyprawy w świat. Ale tak się nie stało. Okazała się momentem szczytowym, najwyższym osiągnięciem bez dalszego ciągu. Gdy tylko Fredrikson wrócił do domu i minęło podniecenie z powodu ślubu Wiercipiętka, zaczął ulepszać swój wynalazek. Przerabiał coś i dobudowywał, przycinał i szlifował, pucował i malował w nieskończoność, aż w końcu „Symfonia Mórz” przybrała wygląd salonu.

Zdarzało się, że Fredrikson wypływał z Autokratą albo z Królewską Samowolną Kolonią na krótkie przejażdżki dla rozrywki, ale na obiad zawsze wracał do domu.

A ja dalej tęskniłem, po prostu wędłem z tęsknoty za tym ogromnym światem, który na mnie czekał. Deszcz padał coraz częściej i wciąż było coś do zrobienia, a to przy sterze, a to przy oświetleniu albo znów przy obudowie silnika, czy czymkolwiek innym, co można było usprawnić.

Po pewnym czasie nadeszły wielkie sztormy.

Wiatr zwiął dom Mimbli i córka Mimbli przeiębiła się śpiąc na dworze. Deszcz padał do puszek po kawie Wiercipiętka. Tylko ja jeden miałem porządny dom z dobrym piecem kaflowym. I, rzecz jasna, po bardzo krótkim czasie wszyscy zamieszkali u mnie. Lecz im więcej było tego życia rodzinnego w sterówce, tym bardziej czułem się samotny.

Chciałbym tu poważnie przestrzec czytelników przed wielkim niebezpieczeństwem, jakie grozi, gdy ktoś z przyjaciół żeni się lub staje nadwornym wynalazcą. Jednego dnia jest się samowolną kompanią wagańców, którzy ruszają w drogę, gdy robi się nudno, mogą robić, co tylko chcą, cały świat stoi przed nimi otworem - aż raptem obojętnieją na to wszystko, przestaje ich to obchodzić.

Chcą, żeby im było ciepło. Boją się deszczu. Zaczynają zbierać duże rzeczy, na które nie ma miejsca w podróznym tobołku. Mówią tylko o małych rzeczach.

Nie lubią nagle decydować się na coś, a potem robić odwrotnie. Przedtem rozwijali żagle - teraz strugają półeczki na porcelanę. Ach, czyż można mówić o takich sprawach nie roniąc łez!

Najgorsze ze wszystkiego było to, że zarażałem się od nich i im więcej przyjemności sprawiało mi siedzenie z nimi przy piecu, tym trudniej mi było czuć się wolnym i odważnym jak orzeł morski.

Rozumiecie mnie, drodzy czytelnicy? Zamknięty w środku, po- zostawałem jednocześnie na zewnątrz, aż w końcu nie byłem już w ogóle niczym i tylko sztormy szalały i padał deszcz.

Tego całkiem niezwykłego wieczoru, o którym teraz opowiem, zrobiła się okropna pogoda. Dach trzeszczał i łomotał, co jakiś czas wichur z południowego zachodu wtłaczał dym przez komin, deszcz bił w werandę, jakby biegały po niej małe, chyże nóżki (przerobiłem mostek Kapitański na werandę i wyrzeźbiłem na drewnianej balustradzie ornament z szyszek sosnowych).

- Mamo! Poczytasz nam? - zapytały dzieci Mimbli leżąc w łózkach.

- Oczywiście - odparła Mimbla. - Na czym to skończyliśmy?

- „Inspektor - policji - Twiggs - podszedł - na - palcach...” - wrzasnęły dzieci.

- Dobrze - powiedziała ich mama. - „Inspektor policji Twiggs podszedł na palcach. W oddali mignęła mu lufa rewolweru. Z lodowatym opanowaniem posuwał się naprzód, by wziąć odwet w imię sprawiedliwości, przystawał i znów robił parę kroków...”

Przysłuchiwałem się z roztargnieniem historii, którą czytała Mimbla, a którą słyszałem już tyle razy.

- Podoba mi się to opowiadanie - odezwał się Duch. Haftował właśnie poszewkę na jasiek (były to piszczele na czarnej flaneli) i co chwila patrzył na zegar.

Wiercipiętek siedział przed otwartym paleniskiem trzymając

Grokę za łapkę, Jok kładł pasjansa. Fredrikson leżał na brzuchu i oglądał obrazki w książce „Podróż przez Ocean”. Było przytulnie, nastrój zupełnie domowy, prawdziwe życie rodzinne. Lecz im dłużej na to patrzyłem, tym większy mnie ogarniał niepokój. Czułem mrówki w nogach.

Co jakiś czas bryzgi morskiej piany uderzały w czarne, rozdygotane szyby.

- Być w taką noc na morzu - odezwałem się marzycielsko.

- Osiem Beauforta. Jeśli nie więcej - rzekł Fredrikson, wpatrując się w fale na obrazku.

- Wyjdę zobaczyć, jaka pogoda - mruknąłem i wysliznąłem się przez drzwi od zawietrznej, strony. Stałem przez chwile, nasłuchując. Groźny huk bałwanów wypełniał otaczającą mnie ciemność. Wystawiłem nos w stronę morza, położyłem uszy po sobie i przeszedłem na drugą stronę domu.

Sztorm rzucił się na mnie z wściekłym wyciem, a ja zamknąłem oczy, żeby nie widzieć tych wszystkich złowrogich okropności, które potrafią czyhać w taką jesienną noc. Ponure sprawy i najlepiej o nich nie myśleć...

Był to zresztą jeden z rzadkich wypadków, kiedy nie myślałem wcale. Wiedziałem tylko, że muszę zaraz zejść nad samą wodę, tam gdzie ryczą bałwany. Pchało mnie owo magiczne Przeczucie, dzięki któremu również i w późniejszych latach nieraz osiągałem zadziwiające wyniki.

Księżyc wyłonił się z nocnych mgieł i mokry piasek lśnił jak metal. Fale toczyły się z grzmotem ku brzegowi jak szeregi białych smoków, z wysuniętymi pazurami wznosiły się prosto do góry i rozbijały na plaży, cofały się z sykiem w ciemność i znów wracały.

Te moje wspomnienia jeszcze wciąż są żywe!

Co to takiego spowodowało, że na przekór ciemnościom i zimnu (a nie ma nic gorszego dla Muminków) błąkałem się po plaży w tę właśnie pamiętną noc, kiedy Mama Muminka wylądowała na naszej wyspie? (Ach, wolność - cudowna rzecz!).

Trzymając się kurczowo jakiejś deski przypląnęła na grzbiecie bałwanów, wpadła jak piłka do zatoki i znów została wciągnięta w głąb morza.

Wbiegłem do wody krzycząc z całych sił:

- Jestem tu!

Po chwili wróciła. Deska wymknęła się jej, więc z nogami w powietrzu to wylatywała w górę, to zjeżdżała w dół, miotana falą.

Nawet mi powieka nie drgnęła, kiedy spojrzałem na zbliżającą się czarną ścianę wody. Złapałem rozbitka w objęcia i przez chwilę kręciliśmy się bezradnie w skłębionej kipieli.

Z nadnaturalną siłą wbijałem nogi w piasek, wczepiałem się mocno, mocno... jeszcze mocniej - i wreszcie wyczołgałem się na brzeg, czując, jak głodne fale chwytają mnie za ogon.

Potykałem się i chwiałem, borykałem się, walczyłem - aż w końcu położyłem mój słodki ciężar na piasku, w bezpiecznym miejscu, z dala od dzikiego, okrutnego morza. Ach, to było coś zupełnie innego niż wyratowanie Ciotki Paszczaka! Bo to był Mu- minek, taki sam jak ja, tylko jeszcze ładniejszy, mały Muminek płci żeńskiej, którego j a s a m wyratowałem!

Nieznajoma usiadła krzycząc do mnie:

- Ratuj torebkę! Torebkę!

- Pani ją chyba trzyma w łapce - powiedziałem.

- Ach, naprawdę? Co za szczęście!... - zawołała i otworzy- wszy swą dużą czarną torebkę zaczęła w niej grzebać.

W końcu wyciągnęła puderniczkę.

- Pewnie puder zamókł - zmartwiła się.

- Pani jest równie piękna bez niego - odezwałem się szarmancko.

Wtedy rzuciła mi nieodgadnione spojrzenie i spłonęła silnym rumieńcem.

Pozwólcie mi zatrzymać się tu, przy zwrotnym punkcie mojej burzliwej młodości, pozwólcie zakończyć te pamiętniki w chwili, gdy Mama Muminka, najrozkoszniejsza spośród wszystkich Muminków, wtoczyła się w moje życie!

Od tej pory jej łagodne, pełne zrozumienia oczy kontrolowały moje szaleństwa, które dzięki temu przemieniły się w mądrość i rozsądek, choć równocześnie straciły urok nieskrępowanej swobody.

Działo się to wszystko strasznie dawno, lecz kiedy teraz przywołałem moje wspomnienia, czuję, że wszystko mogłoby się zdarzyć jeszcze raz, choć w jakiś całkiem inny sposób.

Odkładam więc pióro w przekonaniu, że czas cudownych przygód jeszcze się mimo wszystko nie skończył (byłoby to bardzo smutne).

Niech więc każdy wyróżniający się Muminek rozważy głęboko moje przeżycia, mój rozsądek i moje czyny (ewentualnie też głupstwa, które robiłem), nawet jeżeli mu nie zależy, żeby wyciągnąć naukę z tych doświadczeń, które sam będzie musiał kiedyś zdobyć w ów cudowny i uciążliwy sposób, znamieny dla wszystkich młodych, utalentowanych Muminków.

.oOo.

Tu kończą się pamiętniki.

.oOo.

Lecz teraz następuje ważny epilog. Przewróć stronę!

EPILOG

Tatuś Muminka odłożył pióro na stół i nie odzywając się patrzył na swoją rodzinę.

- Twoje zdrowie! - powiedziała Mama Muminka ze wzruszeniem.

- Twoje zdrowie, Tatusiu! - rzekł Muminek. - Teraz jesteś już sławny.

- Co ty mówisz! - wykrzyknął Tatuś podskakując:

- Ktokolwiek przeczyta tę książkę, na pewno uzna, że jesteś sławny - rzekł Muminek z przekonaniem.

Autor zamachał uszami i uśmiechnął się.

- Być może - powiedział.

- No, a potem, co było potem? - zawołał Ryjek.

- Ach, potem... - rzekł Tatuś Muminka robiąc nieokreślony gest, którym objął i dom, i rodzinę, i ogród, i Dolinę Muminków, i w ogóle wszystko, co następuje zaraz po czyjejś młodości.

- Drogie dzieci - odezwała się nieśmiało Mama Muminka - potem wszystko się dopiero z a c z ę ł o.

Nagły podmuch wiatru uderzył w szyby. Spadły pierwsze krople deszczu.

- Wypłynąć na morze w taką noc - mruknął Tatuś Muminka z roztargnieniem.

- A co było z m o i m tatusiem? - spytał Włóczykij. - Z Jokiem? Co się z nim stało? A co z mamą?

- I z Wiercipiętkiem! - wykrzyknął Ryjek. - Posiałeś gdzieś jedynego tatusia, jakiego kiedykolwiek miałem! Nie mówiąc już o jego zbiorze guzików i o Groce!

Na werandzie zrobiło się cicho.

I właśnie wtedy, dziwnym trafem w tym właśnie momencie - to niesłychanie ważne dla tej historii - ktoś zapukał do drzwi.

Usłyszeli trzy mocne, krótkie uderzenia:

Tatuś Muminka zerwał się wołając:

- Kto tam?!

Głęboki głos odpowiedział:

- Otwórz! Noc jest mokra i zimna.

Tatuś pchnął drzwi na oścież.

- F r e d r i k s o n! - krzyknął.

Na werandę wszedł Fredrikson, strząsnął z siebie krople deszczu i powiedział:

- Trochę trwało, zanim cię znalazłem. Hej, hej!

- Nic a nic się nie postarzałeś! - wykrzyknął Tatuś Muminka z zachwytem. - Ach, jak ja się cieszę! Ach, jaki jestem szczęśliwy!

Wtedy odezwał się cichy, stłumiony głosik:

- W taką noc przeznaczenia jak ta zapomniane kości chrześzczą bardziej niż kiedykolwiek!
- i Duch we własnej osobie wyrwał z plecaka Fredriksona, uśmiechając się sympatycznie.

- Witajcie! - powiedziała Mama Muminka. - Może kieliszek grogu?

- Dziękuję, owszem - odparł Fredrikson. - Jeden dla mnie.

Jeden dla Ducha. I jeszcze kilka dla tych, co na dworze.

- Jest was więcej? - spytał Tatuś Muminka.

- Tak, kilkoro rodziców - rzekł Fredrikson, śmiejąc się. - Są trochę onieśmieleni.

Ryjek i Włóczykij wybiegli na deszcz. A tam stali, marznąc, ich tatusiowie i mamusie, zmieszani tym, że tak długo nie dawali znać o sobie. Stał Wiercipiętek trzymając Grokę za łapkę, oboje ze zbiorami guzików w dużych torbach podróżnych. Stał też Jok z wygasłą fajką w ustach i Mimbla płacząca ze wzruszenia, i córka Mimbli, i trzydzieści czworo młodych Mimblątek, a przede wszystkim mała Mi (która nic a nic nie urosła), i kiedy wszyscy weszli na werandę, zrobiło się tak tłoczno, że ściany mała nie pękły:

To była nieopisana noc!

Nigdy dotąd weranda nie mieściła tylu pytań, okrzyków, uścisków, wyjaśnień i kieliszków grogu, a kiedy tatuś i mamusia

Ryjka zaczęli rozpakowywać torby z guzikami i od razu ofiarowali Ryjkowi połowę kolekcji, powstało takie zamieszanie, że Mimbla pozabierała swoje dzieci, żeby je schować do szaf:

- Cisza! - zawołał Fredrikson wznosząc kielich. - Jutro...

- Jutro! - powtórzył Tatuś Muminka z młodzieńczym błyskiem w oku.

- Jutro zacznie się dalszy ciąg Przygody! - zawołał Fredrikson. - Pofruniemy w świat na „Symfonii Mórz”! Wszyscy razem. Ma- musie, tatusiowie i dzieci!

- Nie jutro, dziś w nocy! - krzyknął Muminek. Świt rozpraszał już nocne mgły, gdy całe towarzystwo wysypało się do ogrodu. Na wschodzie niebo jaśniało w oczekiwaniu na słońce, gotowe lada chwila wyrzeć na świat, za kilka minut noc miała ustąpić i wszystko mogło się znów zacząć od początku.

Otwierały się nowe Niewiarygodne Możliwości, nastawał nowy dzień, w którym wszystko może się zdarzyć, jeżeli tylko ktoś nie ma nic przeciwko temu.